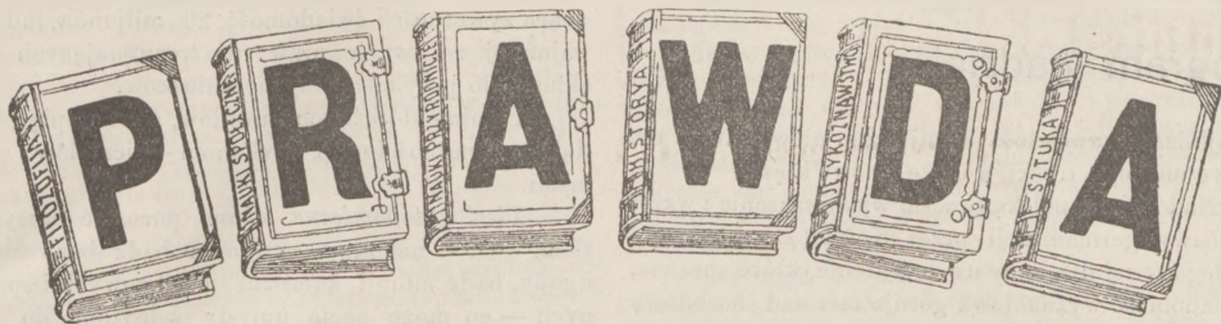
**Nr 50** (1560). Warszawa, 10 grudnia 1910 r. **Rok XXX**




TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

# Najstarsze pismo postępowe polskie.

Założony przez przodownika polskiego postępu, ALEKSANDRA ŚWIĘTOCHOWSKIEGO, tygodnik „Prawda“ kończy trzydzieści lat swego istnienia.

Wierna swym pięknym tradycjom, jak niegdyś skupiała wkoło siebie pierwszy zastęp „młodych“, którzy w pomroce ogólnego zacofania rozniecili ognisko myśli wolnej i postępowych dążeń, — i dziś „Prawda“ wśród powszechnego upadku ducha i powrotnej fali reakcji zmierza do zespolenia sił postępowych, podniesienia ich odwagi, sprawności i energji w walce z ciemnotą, apatją, i wstecznictwem.

Trudne to zadanie spełni „Prawda“ tylko przy gorącym i czynnym poparciu tych wszystkich, którzy jej dążenia uznają za swoje własne, a w osiągnięciu jej celów widzą właściwą drogę do odrodzenia społeczeństwa.

Redakcja.

Jako dodatek kwartalny w formie książki po ukończeniu cennego dzieła prof. Ignacego Radlińskiego

## p. t. Jezus, Paweł, Spinoza

prenumerao rzy „Prawdy“ otrzymają epokowe w zakresie badań religijnych dzieło S. Reinacha

## p. t. Orfeusz, powszechne dzieje religji.

W roku bieżącym zjednaliśmy sobie udział następujących współpracowników:

Ks. Anusz Józef, Auerbach Szymon, Bojarska Stefanja, Choromański Leon, Centnerszwerowa Róża, Czerski Stanisław, Czekalski Eustachy, Czartkowski Adam, Dicksteinówna Julja, Dmochowski Jan, D-r Daszyńska-Golińska Zofja, Gejsler Justyn, Gąsiorowska Natalja, Grabowski Jan, Gorecki Leon, Grubiński Wacław, Hofman Witold, Honowski Feliks, Irzykowski Karol, Iwański Jan, Karpińska Ludwika, D-r Kodisowa Józefa, Kurnatowski Jerzy, Kulczycki Ludwik, Kreczmar Michał, Kurcjusz Aleksy, Lange Antoni, Lange Józef, Leśmian Bolesław, Lednicki Aleksander, Łypacewicz Wacław, Łopuszański J. Malinowski Maksymiljan, Markowska Marja, Michalski Tadeusz, Mucha Ignacy, Moraczewski Wacław, Marczewski Michał, Nocznicki Tomasz, Opieński Henryk, D-r Pawlikowski Klemens, Pyrowicz Stanisław, Pietkiewicz Zygmunt, Pietkiewicz Zenon, D-r Pawłowski Bronisław, Piłsudzki Bronisław, Pinkus Norbert, Piotrowski Władysław, Radliński Ignacy, Rawicz-Szczerbo Władysław, Römer Michał, Rundbaken Jan, Rzymowski Wincenty, Rozstański Bolesław, Savitri, Sadowska Zofja, Sempołowska Stefanja, Świętochowski Aleksander, Szech Antoni, Staniszewski Stanisław, Sokołowski Eugenjusz, Szpon, Turski Jan, Weyhert-Szymanowska Władysława, Weyberg Zygmunt, Wasercug Józef, Walewska Cecylja, Waydel Emil, Wierzchleyski Aloizy, Zabiełło Topór W., Zakrzewski Adam, Zalewski Władysław, Zubowicz Piotr, Życki Kazimierz.

# POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

## Program nadziei.

Najbliższa przyszłość rokuje nam niewątpliwie nowe mozoły i troski, a może i nowe klęski.

Nad Wielkopolską zawisło wywłaszczenie i wzrosły obawy germanizacji przez Kościół skutkiem niezwykłego w tej dzielnicy uwstecznienia, które sprawia, że świadomość wyznaniowa góruje tam nad narodową świadomością; w Galicji sprawa reformy wyborczej, zamiast pojednać Polaków i Rusinów, sprowadza nowy paroksyzm nienawiści, ujawniając podkład społeczny tej nieszczęsnej waśni; wreszcie tu, w Królestwie, tracimy przepojony krwią i łzami szmat ziemi chełmskiej, gdy jednocześnie przykręcana bez ustanku śruba wstecznego rygoru pozbawia nas tchu, a trzecia Duma usiłuje nawet z mizernych ulg samorządu urobić dla nas plagę w postaci kurji wyznaniowo-plemiennych...

A jednak patrzymy w przyszłość naszą z ufnością i nadzieją. Zniechęcenie ogarnia tu jedynie dusze neurasteniczne, umysły płytkie i niemrawe; na tym również podkładzie rodzi się i odradza ta specyficzna polityka marzycieli, co odbiega od rzeczywistości w krainę rojeń i snów o potędze.

Ale istnieje u nas ośrodek zrównoważonej myśli politycznej, która nie ulega nastrojom chwili i unika skrajnych wywodów. Uosabia ona *program nadziei*, czerpiąc z norm i tendencji życia nowoczesnego objektywną pewność wytrwania i odrodzenia.

Istotnie. Mamy przeciw sobie zwrócone wrogie koalicje sił niezmiernie potężnych, ale mamy i sprzymierzeńca, ktory nad wszystkim innym dominuje — mamy po swojej stronie DUCHA WSPÓŁCZESNEJ EPOKI. Wiek XX nie sprzyja metodom eksterminacji, wynaradawiań i rugów; przeciwnie, stanie się on okresem wybitnie wyzwoleńczym.

Współczesna technika zrzeszeń i stowarzyszeń, doskonaląc się z każdym rokiem, zmierza powoli lecz stale do przewagi nad formą organizacji przymusowej, przekazanej nam od wieków dawno minionych. Jaskrawe przeżytki w bytowaniu — a obfitują w nie prawie wszystkie państwa zaborcze — muszą w końcu ustąpić, bo nie było jeszcze wypadku w dziejach, aby ułomne i spaczone formy współżycia oparły się doskonalszym.

* * *

Wiek XX rozpoczyna się i przejdzie pod hasłem *równouprawnienia wszystkich narodów*, podobnie jak wiek XIX rozpoczął się i przeszedł pod hasłem *tożsamości narodu i państwa.*

Idea równouprawnienia narodów, coraz potężniejąc, narzuca się światu z nieprzepartą, żywiołową siłą. Uzupełnia ona i dokonywa fazy rozwojowej, której wiek XIX nie wszędzie dokonał. Nietylko Irlandja staje nareszcie w przededniu ziszczenia swych pragnień (*home rule*), nietylko Alzacja i Lotaryngja blizkie są krajowego samorządu, lecz nawet egzotyczne krainy: Indje, Egipt, Arabja.

Sprawa Polska nazbyt wybitne zajmuje miejsce w rzędzie kwestji międzynarodowych, by ją można było pominąć we współczesnym układzie politycznym.

Ani wspomniane objektywne tendencje, ani rosnąca żywotność i świadomość 20 miljonów ludzi, bynajmniej ze swych praw nie rezygnujących — nie skłania do pesymistycznych wniosków.

Pomimo doraźnych zawodów, wbrew spiętrzonym dokoła trudnościom i szykanom — jesteśmy dobrej myśli.

*Idea autonomiczna* winna pozostać naszym hasłem, wbrew metodom skrajnym bądź bezwzględnej ugody, bądź utopji katastrof państwowych i społecznych — co może nęcić umysły wdrożone do ślepej wiary, ale do pozytywnego programu nie nadaje się żadną miarą.

Konserwatyzm jest złem, bo redukuje ducha polskiego do pierwotnych odruchów, do ciasnych norm bytowania, będących zaprzeczeniem wszelkiej funkcji rozwojowej, tak nam potrzebnej. Teorja katastrof także jest szkodliwą, bo czyni życie nasze czymś prowizorycznym, odrywa sprawne dłonie od pracy realnej i każe zatapiać się w dalekich wizjach ideału, co sprzeciwia się zdrowemu zmysłowi pracy i walki.

Jedynie pośrodku i w zgodzie z duchem czasu mieści się postępowy program nadziei.

## PRZEGLĄD POLITYCZNY.

Wielkie zainteresowanie budzi w kołach politycznych i finansowych projekt kolei anglo-indyjskiej, biegnącej przez terytorjum polskie, rosyjskie i perskie, od Aleksandrowa przez Baku i Teheran, co skróci czas, potrzebny na przebycie 9000 kilom. przestrzeni do dni siedmiu zamiast czternastu, jak to się dotąd praktykowało. Projekt popierają podobno wybitni działacze angielscy i rosyjscy — Gray, Michelson, Harding, Timirazjew, Chomiakow, Zwiegincew — i ma on pewne widoki urzeczywistnienia, ile że jedyna stojąca na przeszkodzie dotąd okoliczność, antagonizm anglo-rosyjski, dziś już nie istnieje. Rośnie natomiast współzawodnictwo w ekspanzji na Wschód pomiędzy Niemcami i Anglją — i ztąd też oczekiwać można utrudnień i przeciwdziałań ze strony Niemiec, którzy drogę swoją na Wschód kierują wytrwale ku Azji Mniejszej, Mezopotamji i Zatoce Perskiej.

Owo zaogniające się współzawodnictwo dwuch najtęższych europejskich narodów na klasycznym szlaku indyjskim nasuwa pewne uwagi co do sposobów ekspansji nowożytnej w dziedzinie komunikacji. Oto droga na Wschód, od lat 500 dzięki postępom żeglugi będącą drogą morską, dziś znowu na ląd stały powraca, o czem świadczą mnożące się projekty transkontynentalnych linji kolejowych. Kiedy dawniej wlokły się powolnie tym szlakiem karawany jucznych bydląt i zmożone hufce krzyżowców, dziś pożerają przestrzeń potężne parowozy *compound* wagi tysięcy tonn i chyżości 100 wiorst na godzinę. I w miarę tego, jak maleje, zda się, glob ziemski, rośnie przedsiębiorczość i zabiegliwość człowieka. Ludzkość ucywilizowana, dzięki najnowszym środkom techniki, powraca znów na dolinę Eufratu i Tygrysu, ku przełęczom gór Himalajskich, ku przedwiecznej swojej kolebce, powraca nie jak ów syn marnotrawny, ale tryumfująca i świetna. Nigdy jeszcze powrotna fala cywilizacji z Zachodu na Wschód nie wznosiła się tak wysoko, nie uderzała tak rozlewnie, jak się to dzieje obecnie.

Anglicy zrozumieli pierwsi rosnącą znów przewagę lądowych środków komunikacji i jeszcze przed 12 laty powzięli plan olbrzymiej linji trans-afrykańskiej (Kap-Kair), dziś będącej na ukończeniu i zapewniającej im faktyczne panowanie nad całym lądem afrykańskim. Powstał później angielski również projekt kolei Kair-Kalkuta, która, idąc w poprzek Mezopotamji i Persji, krzyżuje plany niemieckie i uzupełnia panowanie lwa brytańskiego nad dwoma starymi lądami. Trzecim kapitalnym ogniwem tej olbrzymiej obręczy szyn stalowych dokoła Starego Świata ma być omawiana właśnie linja Londyn-Bombaj wiodąca przez Rosję i Persję. W świetle tych projektów dopiero zrozumieć można widoki angielskie na Persję i stosowaną tam od 3 lat politykę, w tak jaskrawej będącą niezgodzie z dotychczasowymi metodami rządów brytańskich.

Oczywiście, wzgląd na taką „bagatelkę" jak niezależność Persji bynajmniej nie krępuje statystów i inżynierów z nad Tamizy, rzucających trasy żelazne poprzez cudzy odwieczny ląd z flegmą urodzonych niwelatorów. Żadne protesty, żadne odruchy rozpaczy ze strony patryjotów perskich nie będą tu brane w rachubę; jak ów mityczny wóz bóstwa indyjskiego, imperjalizm współczesny miażdży w tryumfującym pochodzie wszystko, co mu się nierozsądnie przeciwi.

W wykonaniu tych robót gigantycznych stoi Anglikom na zawadzie przewlekły zatarg konstytucyjny między dwoma izbami parlamentu. Występując na widownię świata do zapasów z potężniejącą w oczach Germanją, musi mieć Anglja wolną od kłopotów domowych głowę i aparat państwowy w porządku. To rozumieją wyspiarze i zdecydowani są tym razem załatwić się energicznie z opornymi lordami. Izbę gmin rozwiązano; wybory odbędą się jeszcze przed Nowym Rokiem. Wynik ich zdaje się być pewny; o ile nieprzewidziane nie zajdą wypadki, rok 1911 wzejdzie nad klęską zachowawców. Czują to lordowie i stawiają już takie warunki, jakie rząd liberalny przyjął by przed rokiem z radością; dziś nie są one wystarczające. Zdaniem pewnego publicysty angielskiego, który na szpaltach *N. Fr. Presse* zdawał sprawę z kryzysu, — „od czasu Cromwella nie widziano w Anglji takiej obawy przed siłą ludu i tak daleko idącej rezygnacji z przywilejów, uświęconych wiekową tradycją". Świadczy to zresztą pochlebnie o zmyśle politycznym Anglików, który dominuje nawet w kołach tak wyniosłego możnowładztwa, jakim jest Izba Lordów, co przez całe wieki, jak ongi Senat Rzymski, rozkazywała połowie świata, a dziś musi uchylić czoła przed większym od siebie majestatem — Narodu. Zresztą Anglja jest krajem, gdzie ustrój parlamentarny działa poprawnie, bez wstrząśnień i zaburzeń, czego bynajmniej nie można powiedzieć o narodach romańskich, nazbyt pochopnych do zamachów stanu, ani o germańskich, gnących się z leniwą biernością pod ferułą osobistego władztwa.

Właśnie, gdy korona angielska pierwsza daje przykład cnót narodowych, przychylając się wyraźnie do żądań opinji, wyrazicielki woli narodu, pomimo węzłów powinowactw rodowych i społecznych z konserwatywną Izbą Lordów — w Berlinie znów absolutyzm Hohenzollernów butnie i wyniośle przeciwstawia się społeczeństwu, ustami kanclerza wołając w odpowiedzi na interpelacje lewicy: — Królowie pruscy są królami z własnego prawa! Godności swej nie otrzymali z rąk narodu; sami ją sobie zdobyli i odpowiedzialności przed nikim składać nie będą! —

Gdy tak w obu współzawodniczących mocarstwach stosunki układają się zgoła inaczej — wnosić można, że W. Brytanja, dzięki harmonji pomiędzy Koroną i Parlamentem zyska na wewnętrznej spójni, a Niemcy — stracą.

---

# O wychowaniu i nauczaniu.

## II.

System wychowania i nauczania, jako okres przygotowawczy dla walki o byt, jest składową częścią etyki danego gatunku rasy lub wyodrębnionego zbiorowiska ludzkiego. Wartość praktyczną i celowość tego lub owego systemu wychowania i nauczania wysnuwać należy z zestawienia go z warunkami bytu i zadaniami walki o byt, jakie danemu gatunkowi, danej rasie, danemu stanowi, danemu narodowi przyroda i historja zgotowały. Systemy zatym zależne są od okoliczności, miejsca i czasu.

Wszystkie dotychczasowe sposoby wychowania i nauczania niezależne od tych lub owych tendencji, posiadają tylko przybliżoną i względną wartość, nie mogąc rościć pretensji do miana uniwersalnych recept.

Najczęściej w każdym poszczególnym wypadku ma się do czynienia z osobliwym problematem pedagogicznym, który samodzielnie trzeba rozwiązywać, radząc się oczywiście właściwej gałęzi wiedzy, zwanej pedagogiką. To też owocność wychowania i nauczania jest dziś raczej rzeczą talentu, niż umiejętności i w pierwszym rzędzie zawisła od przymiotów osobnistych, cielesnych i zmysłowych, tudzież od charakteru samych wychowawców.

Przewodnie myśli o wychowaniu i nauczaniu, jakie zamierzamy poniżej wyłuszczyć, nie będą również mogły rościć pretensji do absolutu. Uwzględnią one te formy bytowania i walki o byt, jakie są właściwe przeciętnie cywilizowanym i uspołecznionym skupinom ludzkim. Ambicją tych myśli przewodnich jest jedynie ułatwić orjentację w tej dziedzinie życiodajnej działalności.

Faktem zasadniczym, jaki wprowadza znamienną różnicę w sposobie wychowania i nauczania u człowieka i zwierzęcia jest ten, że człowiek w przeciwieństwie do zwierzęcia, którego charakteryzuje samowystarczalność, zbiorowo walczy o byt wraz z innymi i przy udziale innych wywalcza pomyślniejsze warunki żerowania lub ochrania, broni już zdobytych.

Pośród pierwotnej trzody ludzkiej, mało zróżniczkowanej pod względem uzdolnień i czynności przeważa jeszcze zwierzęca samowystarczalność jej uczestnika, lecz ta poczyna już znikać przy jakim takim postępie w rozwoju społecznym. Wychowanie nie ma innego celu, jak doskonalenie materjału ludzkiego, odpowiadającego wymogom życiowym, wytworzonym w danym czasie i miejscu przez bieżący układ społeczny, przyczym mniej chodzi o talenty a dużo więcej o charaktery, gdyż losy narodów od charakterów głównie zawisły. Skoro tak jest, przeto z faktu, że w nowożytnym społeczeństwie jednostka zbiorowo zapewnia sobie byt, zbiorowo działa, zbiorowo broni się i napastuje, wypływa zobowiązanie wychowawcze, polegające na wdrożeniu wychowańca do współżycia z innymi do sprawnego karnego zespołu wysiłków przy wykonywaniu żądanych zbiorowych czynności.

Zbiorowiska ludzkie, uwstecznione pod względem społecznym, niezsolidaryzowane i rozłożone, u których interes rodzinny lub jednostkowy, bezwzględnie góruje nad interesem publicznym, wyróżniają się tym, że pojedyncze osobniki u nich wykazujące w odosobnieniu cały szereg uzdolnień w zespoleniu z innymi tracą na wartości, dochodząc przy dostatecznie wielkim i złożonym skupieniu do zupełnego ubezwładnienia i niedołęstwa. Przedstawiają one osobliwy paradoksalny widok, polegający na tym, że zespół, złożony z jednostek indywidualnie wartościowych, poczyna zatracać wartość. Biegunowo przeciwne objawy spostrzega się pośród uspołecznionych zbiorowisk ludzkich. Źródło powyższych przejawów jest tak oczywiste, że nie warto na nie wskazywać.

Jeżeli wychowanie, będące sztuką nauczania żyć samodzielnie, obowiązane jest przyuczać do współżycia, to nie należy tego interpretować w ten sposób, że uspołecznianie charakteru jednostki przez wychowanie ma polegać na jakimś serwilizmie względem owej reszty skupienia ludzkiego. Zbiorowy rozum i zbiorowa wola często bywają pośledniejszymi, niż rozum i wola pojedynczej jednostki, u której ten rozum i ta wola w pomyślniejszych warunkach się kształtują. Z tego względu w interesie postępu nie leży serwilizm społeczny, lecz przeciwnie, uzdolnienie jednostki do przeciwstawienia się ogółowi w interesie tegoż ogółu, co wymaga dużo siły, odwagi i zaparcia się siebie Ażeby takie przeciwstawienie nie wyrodziło się w pospolite warcholstwo lub interesowne matactwo, musi temu przeciwstawianiu się przyświecać myśl społeczna i życzliwy stosunek do reszty; prócz tego oponent powinien być przyuczony do poddawania surowej i wielostronnej autokrytyce swoich przekonań, za wszelką cenę bronionych.

Po zrobieniu powyższego zastrzeżenia, wypadnie nam utrzymywać, że skoro wychowanie nie ma inego celu jak nauczenie *savoir vivre'u* (nie w głupkowatym sensie salonowym), przeto winno ono od samego początku wdrażać wychowańca do współżycia i współdziałania z innymi. Jedynym prawdziwym uczeniem się czegokolwiek jest praktyka. To też wychowanie powinno się odbywać w osadach szkolnych, jak to często ma miejsce w Ameryce. Osady takie powinny tak być zorganizowane, ażeby przy wszechstronnym czynnym współudziale wychowańców dochodziły do samowystarczalności t. j. ażeby wszystkie pospolite potrzeby własnymi siłami zaspakajały. Współudział czynnych wychowańców, należy tak rozumieć, żeby w zarządzie ogólnym, lub poszczególnym i przy technicznej pracy, przy warsztacie wychowańcy w przewidzianej godzinie oraz ilości, dyżurowali w charakterze praktykantów i pomocników, obok dorosłych dopóki nie uzdolnią się do ich wyręczenia.

Od wczesnych lat należy zakładać stowarzyszenia wśród wychowańców stawiające im zadania i cele to łatwiejsze, to trudniejsze do osiągnięcia, to proste, to więcej złożone, stosownie do wieku i stopnia rozwoju samych uczestników stowarzyszenia. Rywalizacji doskonalącej pomiędzy stowarzyszeniami tego samego charakteru, nie należy unikać. Nie krępując samodzielności takich młodocianych stowarzyszeń, niewłaściwym byłoby pozostawiać je samopas, lecz od czasu do czasu poddawać ich kontroli, jedynie w celu poddania ich działalności życzliwej i doradczej krytyce. Oprócz tego wskazanem jest w widokach przyuczania do współżycia i współdziałania powierzać, grupom wychowańców, spełnianie zbiorowych czynności według ich własnego pomysłu i planu pod zbiorową odpowiedzialnością wszystkich, nie zaniedbując nigdy krytyki tego, co takie grupy zdziałają.

Wszelkie współdziałanie i współżycie, nieuniknienie sprowadza zatargi pomiędzy jednostką i resztą zespołu, lub pomiędzy jednostkami. Źródłem tych zatargów są przerosty lub niedorosty temperamentów, usposobienia i afekty niedostosowane do metody zbiorowego koncertowego działania i nie zgranych ze sobą osobników, wreszcie obciążenia dziedziczne i ułomności które strącają ich posiadacza poniżej poziomu właściwych zadań.

Zatargi, jakie niewątpliwie powstawać muszą przy praktycznych ćwiczeniach w szkole życia zbiorowego w pierwszej instancji powinny podlegać sądom samych wychowańców, ażeby ich przyuczyć krytykować i oceniać postępki lub ujawnione wybryki współwychowańców. Sądy te i wyroki nie muszą być bezapelacyjne i ostateczne, mogą same podlegać krytyce przełożonych odwołaniu lub zmianie; udział wszakże wychowańców w podobnych sądach, choćby w charakterze doradczym jest niezbędny jako ćwiczenie praktyczne z zakresu wyrobienia etyki społecznej wspartej na nałogowym przyzwyczajeniu i uzgodnieniu osobistego interesu życia z interesem ogółu.

(c. d. n.). *Szpon.*

# Chrześcijaństwo a Papizm

(Uwagi polemiczne).

W artykule „nowa republika" (Nr. 46 *Prawdy*) napisałem, że dobry katolik nie może być dobrym obywatelem wolnego kraju. Gniewa to p. Dworzaczka, który w Nr. 322-im *Dziennika Powszechnego* stara się zbić to twierdzenie. Zdaniem pana D., katolicyzm sprzyja wolności badania, bo Michał Anioł, Kopernik, Descartes byli katolikami, pobudza do walki o wolność polityczną, co stwierdzić mają imiona Windhorsta i Wawrzyniaka, rozwija poczucie godności własnej, gdyż według nauki o życiu pozagrobowym, każdy otrzyma po śmierci to, na co osobiście zasłużył w życiu doczesnym.

Są tu trzy tezy: 1. Katolicyzm, jako czynnik rozwoju artystycznego i naukowego. 2. Katolicyzm, jako szermierz idei ludowładztwa („rozwoju i utrwalenia parlamentu", jak pisze p. D.) 3. Katolicyzm, jako filozofja indywidualistyczna, torująca drogę „prawom człowieka".

1. Michał Anioł był niewątpliwie dobrym katolikiem, skoro aż trzech nieomylnych papieży Juljusz II, Leon X i Klemens VII polecało mu wykonywanie rozmaitych dzieł sztuki, ale ani on, ani jego protektorowie papiescy nie byli chrześcijanami, co — zresztą — jest właśnie tym „obywatelskim czynem", który im zapewnił nieśmiertelność na kartach historji. Gdy oddalone od Włoch duchowieństwo świeckie i zakonne handlowało sobie odpustami, rubasznie bawiło się w klasztorach, kłóciło o rozmaite brednie scholastyczne — na tronie papieskim, w przepychu złota, zwożonego z całej Europy, w blasku potęgi świeckiej, rozsiadło się najwspanialsze pogaństwo greckie, kult formy, żądza wiedzy, władzy, rozkoszy zmysłowych, harmonijnie splecionych z rozkoszami umysłowymi i artystycznymi, słowem jeden z najpyszniejszych absolutyzmów oświeconych, jakie znają dzieje. Nigdzie mniej się nie umartwiano, nigdzie mniej nie myślano o życiu pozagrobowym, nigdzie tyle nie poświęcono dla władzy doczesnej i dla piękna doczesnego i nikt lepiej nie oddał nastroju tego Odrodzenia, niż Michał Anioł. Jego „Chrystus zmartwychwstający" przypomina Herkulesa, idącego do walki zwycięzkiej, jego „Mojżesz" — to apologja spiżowej siły i nieugiętego, a jasnego i chłodnego rozumu, jego „Sąd Ostateczny" — to jakaś ostateczna rozprawa zwycięzkiego bóstwa, które miażdży swoich wrogów. Przepyszne rzeczy! Niestety Odrodzenie krótko trwało, genjalnych pogan nie powoływano już więcej na tron napieski, jezuici zawrócili papizm wstecz ku wiekom średnim i rola katolicyzmu w historji nowoczesnej, jako ogniska sztuki, skończyła się.

Kopernik także był katolikiem, nawet kanonikiem, lecz, jak wiadomo, tylko temu zawdzięcza uniknięcie prześladowań ze strony władz kościelnych, iż pierwsze wydanie swojego dzieła „de revolutionibus orbium coelestium" otrzymał na łożu śmierci. Jego uczniowie (Galileusz, Giordano Bruno) byli strasznie prześladowani, a teorję obrotu ziemi koło słońca kościół katolicki raczył uznać dopiero w XIX-ym wieku, kiedy dłuższym nieuznawaniem jej naraziłby się tylko na śmieszność.

Descartes również był zapisany w metryce, jako katolik, mimo to swojego dzieła „Le monde" nie wydał za życia, obawiając się, że spotka go los Galileu-

sza, a, aczkolwiek sam, z swojej zasadniczej tezy „myślę, więc jestem", stawiającej myśl, jako kryterjum rzeczywistości, wyprowadził wniosek o istnieniu Boga, jednak wniosek ten bardzo słabo uzasadnił logicznie, nie mówiąc już o tym, że wcale nie próbował uzasadniać dogmatu Trójcy św. lub Niepokalanego poczęcia. Aby uniknąć prześladowań ze strony duchowieństwa katolickiego, które mu groziły pomimo jego arystokratycznego pochodzenia i możnych stosunków, Descartes schronił się pod koniec życia na dwór protestanckiej królowej Szwecji, Krystyny.

Trudno. Niechaj to już będzie piśmiennym dowodem mojego zwyrodnienia i zdziczenia, ale ja żadną miarą nie mogę poczytywać za zasługę władzom papieskim tego, iż Kopernik zdążył umrzeć pod Toruniem, zanim go spalono w Rzymie, a Kartezjusz zdążył uciec do Szwecji, zanim go schwytano w Holandji.

Prócz tych trzech ludzi, jak zapewnia p. Dworzaczek, są jeszcze miljony wielkich artystów i uczonych katolików. Niestety, więcej nazwisk p. D. nie wymienia, ja tych miljonów nie znam, więc również nikogo więcej wymienić nie mogę, a trzy przytoczone nazwiska świadczą jedynie, że katolicyzm prześladował wiedzę od początku historji nowożytnej, sztukę zaś popierał w krótkotrwałej epoce Odrodzenia, gdy sam zbliżył się do pogańskiego i czysto ziemskiego hellenizmu.

2. Katolicyzm, jako szermierz idei ludowładztwa. Przykłady Windhorst, ks. Wawrzyniak.

Windhorst był dobrym obywatelem Niemiec tylko dla tego, że Niemcy Bismarka nie były wolnym krajem. Ten sam Windhorst przeniesiony do kraju, gdzie katolicyzm jest religją panującą, musiałby albo przestać być dobrym katolikiem, albo zacząć kuć kajdany dla swoich współobywateli.

Zresztą więcej Windhorstów nie będzie. Już się sytuacja zmieniła w Niemczech. Rząd pruski zamiast zwalczać, postanowił wyzyskać katolicyzm dla swoich celów. Stosunki Berlina z Watykanem stają się aksamitne, jezuici po-cichu wracają, zakładają swoje szkoły, dla Polaków hoduje się specjalny typ księdza katolickiego germanizatora, który z inspekt wrocławskich kardynała Koppa stopniowo flancuje się najprzód na Szlązku, potym w Prusach Zachodnich, wreszcie w Poznańskim. Katolicka ludność polska nie może się przeciwko temu bronić, dopóki pozostaje katolicką, bo zgodnie z despotycznym ustrojem katolicyzmu wszelkie nominacje idą z góry, bez żadnego wpływu ogółu wyznawców.

W czasach prześladowania katolicyzmu w imię luteranizmu i polskości w imię germanizmu mógł się też wysunąć na czoło ruchu społeczno narodowego taki człowiek, jak ks. Wawrzyniak. Specjalnie tylko w takim okresie i w takich warunkach mogła zarysować się tego rodzaju działalność księdza. Nie była ona możliwa w latach 40-ych, kiedy Poznańskie nie było tak jeszcze sklerykalizowane, jak dziś. Nie będzie ona możliwą w przyszłości, gdy mianować będą księży — germanizatorów lub w najlepszym razie księży indyferentnych narodowo i społecznie. Te dodatnie typy działaczy wyznania katolickiego są możliwe tylko tam, gdzie katolicyzm jest prześladowany w imię innej religji panującej, a więc w krajach pozbawionych wolności; i to tylko dopóty, dopóki innowierczy rząd despotyczny nie wejdzie w kompromis z Kościołem katolickim, a w tego rodzaju kompromisach kościół katolicki zawsze stawia jako swoją stawkę zrzeczenie się wszelkich „czynów" narodowych, obywatelskich i społecznych; byleby wyzyskać dwie najważniejsze dla siebie rzeczy, t. j. prawo propagandy religijnej i prawo zakładania klasztorów.

3. Mój oponent dowodzi, że teorja życia pozagrobowego potęgując odpowiedzialność osobistą, potęguje tym samym indywidualność. „Indywidualizacja jednostki ludzkiej wyrosła z fundamentów nauki Chrystusowej", P. Dworzaczek ma tu zupełną słuszność. Z punktu widzenia naukowego życie pozagrobowe, Bóg, odpowiedzialność człowieka przed nim — są jedynie i wyłącznie wytworem umysłu ludzkiego i po za nim żadnego bytu objektywnego nie mają. Ale pedagogicznie istotnie miały to znaczenie, o jakim mówi p. D. Tylko że są to zasady chrześcijańskie, które katolicyzm gruntownie spaczył przez podniesienie kapłaństwa do godności sakramentu i przez wprowadzespowiedzi usznej. Z chwilą, gdy pomiędzy człowiekiem, a Bogiem stanął pośrednik — kapłan, któremu człowiek musi się spowiadać ze swoich uczynków i który go za nie karci lub nagradza, znikła odpowiedzialność przed Bogiem i zastąpiła ją odpowiedzialność przed księdzem, inaczej powiedziawszy — władza kasty kapłańskiej, instytucja tak mało chrześcijańska, że spotykamy ją naprzykład w religji Azteków staromeksykańskich. I nawet spowiedź uszna istniała w tej religji Azteków, co jezuici, którzy to pierwsi stwierdzili, przypisywali sztukom djabelskim. Słowem — naukowo fałszywą, ale społecznie płodną zasadę osobistej odpowiedzialności człowieka przed Bogiem, katolicyzm wyrugował na rzecz zasady odpowiedzialności człowieka przed kapłanem. Przez utworzenie kasty kapłańskiej, niewybieranej przez lud i przez nadanie tej kaście władzy — katolicyzm stanął na tym samym poziomie, na jakim stoi wiele religji przedchrześcijańskich.

Indywidualizacja jednostki istotnie wyrosła z fundamentów nauki Chrystusowej, ale katolicyzm ma daleko więcej wspólnego z religją Azteków, z kultem Mitry, z buddaizmem tybetańskim. niż z nauką Chrystusa.

Chociaż sam nie jestem człowiekiem wierzącym, jednak mam dużo sympatji i dużo szacunku dla tych wyznań chrześcijańskich, które wprowadziły do swojej organizacji kościelnej zasady demokratyczne: ludowładztwo i prawa człowieka. Ostatecznie słynna deklaracja praw człowieka i obywatela zoztała przywieziona do Francji z Ameryki Północnej, gdzie ją pierwsi zredagowali purytanie, jako polityczną ekspozyturę swoich zasad ewangelicznych. Taki kalwinizm, naprzykład, który jest sfederowany z purytanizmem szkocko-amerykańskim, posiada organizację wzorową. Synod — ogólne zebranie wyznawców, jako najwyższa władza; pastorzy z zakresem działania czysto duchowym i świecki konsystorz z zakresem działania administracyjnym — jedni i drudzy odpowiedzialni przed synodem i wybieralni przezeń; niema zakonów, niema spowiedzi, każdy ma prawo czytać Biblję i rozumieć ją, *jak chce*. Tutaj jest i ludowładztwo, są i prawa człowieka, i odpowiedzialność osobista przed Bogiem, ale w katolicyzmie tego wszystkiego niema ani śladu.

*Jerzy Kurnatowski.*

# Koleje żelazne a potrzeby ludności.

Niezmiernie ważna, jedna z pierwszorzędnych dziedzin gospodarki w obrębie państwa rosyjskiego — koleje żelazne — jest obecnie przedmiotem pracy komisji budżetowej w Dumie, z powodu wniesienia do parlamentu budżetu kolejowego na r. 1911. Ze względu, że ta dziedzina rozległa ściśle jest związana z życiem i interesami wielomiljonowych rzesz ludności, że koleje są źródłem pracy zarobkowej setek tysięcy ludzi, — sprawa ta zasługuje na szczególną uwagę publiczną.

Z powodu, że kwestja ta będzie przedmiotem obrad w Dumie, źródła urzędowe podają do wiadomości ogółu (za pośrednictwem *Now. Wrem.*) pewne dane, charakteryzujące względną poprawę stanu eksploa-

tacji kolei rządowych, we właściwym, oczywiście zestawieniu i oświetleniu tych szczegółów. Jednocześnie zaś pojawiły się inne dane, jako przeciwstawienie do tamtych, rzucające inne oświetlenie na stan owej gospodarki. Oświetlenie to jest o wiele dokładniejsze i bardziej zbliżone do prawdy, nawet przy manewrowaniu tymi samymi cyframi urzędowymi przez rzeczoznawców nieurzędowych.

Budżet na r. 1911 w opracowaniu komisji Dumy stwierdza, iż gospodarka na kolejach rządowych, stale pogarszająca się od r. 1901 do 1908 włącznie, obecnie ujawnia pewną dążność do poprawy. Punktem zwrotnym był rok 1909 ze świetnym urodzajem, który dał możność kolejom żelaznym zwiększenia zarobków za transporty zbożowe.

„Budżet na r. 1911 — czytamy w informacjach urzędowych — wykazuje przewyżkę dochodów nad wydatkami przeszło o 34 miljony rubli. Obecny zaś budżet na rok bieżący jest pomyślniejszy od zeszłorocznego o 24 miljony, budżet zaś z r. 1909 dał cyfrę wpływów o 21 mil. rb. większą, niż przewidywano; nadto, skarbowi zwrócono niewydanych 11 miljonów rubli".

Ale oto w odpowiedzi na te cyfry *Riecz* zaczerpnęła danych z zarządu kolei żelaznych, którego wykazy nie zawsze się zgadzają z wykazami kontroli państwa a mają tę wyższość nad nimi, że są dokładniejsze i prawdziwsze. Otóż według tych danych zarządu kolei skarbowych, rezultat eksploatacji w ciągu ostatniego trzylecia był następujący: w r. 1907—102,338,000 rb., w r. 1908—103,903,000 rb., w r. 1909—156,899,000 rb. dochodu czystego. Z tych sum należy potrącić spłaty pożyczek kolejowych i $4^1/_2\%$ od sum, asygnowanych bezpośrednio ze skarbu państwa na budowę i wzmocnienie kolei skarbowych. Ostateczny rezultat finansowy gospodarki kolejowej daje następujące sumy niedoboru w cyfrach okrągłych: w r. 1907 — 94 mil. rb., w r. 1908 — 98 mil., w r. 1909 — 47 mil. rb. Cała więc poprawa stanu gospodarki polega na *zmniejszeniu się deficytu* o kilkadziesiąt miljonów rubli. Należy jeszcze wziąć pod uwagę jedną okoliczność bardzo ważną. Na dobre (względnie) wyniki gospodarki kolejowej w r. 1909 wpłynął pomyślny urodzaj. Z przewozu ładunków pociągami towarowymi w r. 1907 dochód wynosił 380 mil. rb., w r. zaś 1908 spadł do 376 mil., natomiast w r. 1909, dzięki pomyślnemu urodzajowi, a więc ożywionym transportom zbożowym, wzrósł do 406 mil. rb. Należy jeszcze przyznać, iż do wzrostu owych dochodów, jak głoszą źródła urzędowe, przyczyniła się polityka gospodarcza ministra skarbu, polegająca na wszelkich możliwych i niemożliwych podwyżkach taryfy przewozowej. Według cyfr urzędowych, zwyżka dochodów z tego źródła wyniosła 6 miljonów rubli w ciągu r. 1909. Nadto, pomyślniejsze rezultaty przypisują jeszcze pewnym zarządzeniom gospodarczym, jak np. lepszemu wyzyskaniu taborów ruchomych, oraz wprowadzeniu 900-pudowej normy ładunku wagonowego. Wreszcie wielkie zasługi w naprawie gospodarki są przypisywane tak zwanym „komitetom rejonowym".

Całym błędem, i to bardzo ważnym, w zestawianiu porównawczym cyfr jest branie za punkt wyjścia lat 1907 i 1908, t. j. lat pod każdym względem wyjątkowych, nienormalnych dla kolei żelaznych. Pod względem finansowych wyników eksploatacji, roku 1909-go nietylko nie można porównać z 1900, — rokiem ostatnim, w którym skarbowa sieć kolei dała przewyżkę dochodu czystego nad wydatkami, ale także z rokiem 1903-im, kiedy wysokość deficytu, przy znacznie niższych taryfach, dosięgała tylko 20 mil. rb. Nawet r. 1904, pomimo ujemnych wpływów wojny i zaburzeń wewnętrznych, przyniósł kolejom tylko 35 miljonów strat. Jeżeli zaś weźmiemy pod uwagę tę okoliczność, że różnica w taryfach stanowi na korzyść r. 1909 w porównaniu z rokiem 1904-ym około 20 miljonów rb., to przy deficycie roku 1909-go, wynoszącym 47 mil. rb., ten wyjątkowo pomyślny rok wykaże nam przeszło o 30 mil. rb. niedoborów więcej, niż r. 1904.

Tak więc rządowe koleje żelazne nietylko nie doszły jeszcze do takiego stanu, któryby pozwalał na eksploatację bez strat, ale nawet nie mogą dojść do stanu z okresu przed wojną japońską i podczas wojny.

Zarówno budowa kolei, jak i eksploatacja posiadają moc błędów zasadniczych, tkwiących bardzo głęboko nietylko w organizmie gospodarki kolejowej, ale w znacznie szerszym i skomplikowanym organizmie gospodarki wszechpaństwowej. Przedewszystkim przy budowie kolei żelaznych nigdy nie decyduje ludność, znająca swoje potrzeby do głębi, ale najczęściej jakaś grupa ludzi, rządząca się planami i pobudkami, nie mającymi nic wspólnego z dobrem i potrzebami ogółu ludności w danej dzielnicy państwa. To też wielu kolejom nadano kierunki wadliwe, z pominięciem ważnych ognisk przemysłowych i handlowych lub całych nawet okolic, które pozostają w stanie gospodarki pierwotnej, gdy przy komunikacji udogodnionej mogłyby zakwitnąć dobrobytem. Niekiedy żywotne potrzeby ludności są pomijane ze względów strategicznych, a jeszcze częściej — ze względów polityki wewnętrznej, gdy chodzi o to, ażeby dana koncesja nie dostała się w ręce „inorodców". Mówimy tu wogóle o budowie kolei żelaznych. Dotkliwsze są braki i niedomagania przy eksploatacji tych sieci, które przeszły w ręce skarbu. Zdawałoby stę, że tam, gdzie jest gospodarka z zarządem scentralizowanym, gdzie niema akcjonarjuszów, pobierających dywidendę, t. j. w eksploatacji kolei rządowych, dochody powinny być znacznie wyższe, aniżeli dochody przedsiębiorstw akcyjnych. Tymczasem dzieje się odwrotnie. Koleje rządowe nietylko dają mniej dochodów, niż prywatne, ale nawet wogóle, jak widzieliśmy powyżej, przynoszą przez szereg lat znaczne straty. Przyczym zaznaczyć należy fakt wielce znamienny, że z chwilą skupu kolei prywatnych przez skarb państwa, liczni urzędnicy spadają z etatu, otrzymują dymisję a jeszcze ich więcej — zniżkę pensji. W ostatnich zaś czasach, bez żadnych osłonek weszła w grę polityka antiinorodcza i znalazła ogromne zastosowanie głównie na kolejach rządowych. Ludzie sumienni, pracowici, zdolni, uczciwi są usuwani z kolei, pomimo nawet długoletniej służby nieskazitelnej dla tego tylko, że są Polakami lub „liberałami" rosyjskimi, na ich zaś miejsca przychodzą nowi kandydaci z tą jedyną ale silną kwalifikacją: że należą do związku narodu rosyjskiego. Jest to wcielanie w czyn idei, która się zrodziła w umysłach czarnosecinnych po powszechnym strajku kolejowym. Powzięta wtedy śród nich myśl zastąpienia wszystkich bez wyjątku urzędników i nawet robotników kolejowych wyłącznie sojusznikami. Wcielenie w czyn tej idei oczywiście musiało się zacząć od „inorodców", czyli głównie od Polaków, których, w myśl ostatniego okólnika, można wszystkich bez wyjątku podciągnąć pod kategorję nieprawomyślnych. Taka zaś kwalifikacja, według ostatniego zarządzenia okólnikowego, najzupełniej wystarcza do usunięcia pracownika, bez wskazania przyczyn. Pozatym wprowadzono już w życie system ograniczeń dziesięcioprocentowych w stosunku do inorodców, pracujących na kolejach żelaznych rządowych. Wobec tak wielkich idei politycznych, których narzędziem stały się koleje żelazne, co znaczą wielkie niedobory miljonowe?!...

Taki wogóle system i takie reformy, które powyżej naszkicowaliśmy, są szeregiem głównych przyczyn złego stanu gospodarki, a więc i dotkliwych strat. Na nieodpowiedniej liczbie, i to licho płatnych pracowników, cierpi cała gospodarka, mnożą się nadużycia przewożenia „na gapę". Pozatym cały system biurokratyczny utrudnia prawidłowy bieg gospodarki, wywołuje nadużycia w innych gałęziach.

Ten sam system nie uwzględnia najżywotniejszych potrzeb ludności, czy to w ruchu towarowym, czy osobowym, czy wreszcie w kierunkach linji. Gdy się ujawnią nadużycia w przewozie podróżnych, zarząd stosuje środki represyjne... względem podróżnych, wprowadza wszelkie możliwe i niemożliwe dla nich ograniczenia i utrudnienia.

Co do kosztów budowy kolei, zwykle są one nadmiernie wysokie, gdy przy innym systemie gospodarki mogliby być znacznie tańsze. Skutkiem tego amortyzacja kosztów budowy rozkłada się na długie lata. Przy takim stanie rzeczy koleje skarbowe muszą przynosić straty.

*Zenon Pietkiewicz.*

## Tołstoj—reformator.

Człowiek — to stworzenie zmienne, które nieustannie się waha. Stąd jego popęd do literatury, muzyki, rzeźby miłosierdzia i okrucieństwa. Próbuje on wszelkich sposobów, aby wywołać cud, który wyzwoli go od zmienności, ustali i powstrzyma opadającą i wznoszącą się na nowo szalę jego życia. Wśród zmienności kalejdoskopowej momentów chce on momentu rozstrzygającego. Sędziowie, naprzykład, przysłuchują się obronie oskarżonego; ostatnim słowom skazańca, brzmiącym zawsze uroczyście w ich uchu, nie ze względu na skazanego i sumienie, lecz ze względu na swe własne życie: przypuszczają oni—nieraz nieświadomie, że ostatnie słowo człowieka, którego szala się ustala—to jest blizkiego końca—rzuci błysk w labirynt ich życia i rozświetli tę ciemność, w jakiej oni sami zmierzają do zgonu. Bo czy słusznie czy nie—człowiek chce ciemny chaos życia rozświetlać jeszcze ciemniejszym chaosem—śmierci. Lecz to rozkoszne i męczące nieraz wahanie, wznoszenie się i opadanie jest nieodzownym warunkiem zdrowia, młodości, życia. Wszelka niezmienność i zakamieniałość, dostrzegana tam, gdzie oczekuje się ruchliwości, wprawia w osłupienie, jak śmierć obozująca na rumowiskach życia. Osobom wrażliwym dość spojrzeć na dobrze zrobioną głowę kobiety, wystawioną w oknie fryzjera, aby uczuć, jak cień zgrozy przesunie się im po duszy. Widać bowiem twarz ludzką jakby znieruchomiałą nagle i to, że tam, gdzie czuć się winno pulsowanie krwi i mikroskopijne falowanie skóry — rozciąga się martwość. W świecie ducha pewna wzniosła nieruchomość na miejscu ruchliwej zmienności wywołuje podziw i szacunek, który jednak nierzadko kończy się na ziewaniu, jak przy zbyt długim wpatrywaniu się w trupa. W kierunku znieruchomienia duchowego — to jest śmierci — zmierzają magowie i święci. Mag przemawia językiem, który oszałamia, wprawia w osłupienie — to jest zabija i otępia chwilowo. W magu jest wiekuiste znieruchomienie gestu, wiecznie napiętego i patetycznego. Może on dotykać wszelkich dziedzin życia, lecz zawsze z pewną lekceważącą niedbałością, trzymając na pogotowiu swój gest druidyczny, jak Zeus olimpijski swoje pioruny. Podziwia się magów, lecz w końcu — nurzą. Mag, w zamian za życie zmysłowe i umysłowe, które odsuwa na bok, ukazuje migotanie lśniących gwiazdek w ciemnościach i mówi: to jest świat mistyczny. Święty obiecuje życie istotne — za grobem. Tołstoj szedł w kierunku świętości. Jest on okazem potężnego człowieka, który już w dobie rozkwitu swego życia, nieustannie rozświetlać je chciał przez kontrast—śmierć. Kochał on życie i w głębinach swego ja drżał, że mu ono upływa i otwiera się czarna przyszłość grobu.

Widząc, że życie ucieka mu na dobre i niczem nie da się powstrzymać, Tołstoj przerzucił swą miłość ze zwyciężanego życia na zwycięzką śmierć. Zapragnął świat cały przekonać, że życie nie jest znów tyle warte, chciał zabić sztukę i Szekspira, jak dobry wódz, który nie chce zostawiać twierdz niezdobytych w kraju, który chce podbić. Tołstoj w starości stał się jak król, który przed śmiercią chroni się do klasztoru na pokutę i chce, by z tego powodu wszyscy poddani posypali sobie głowy popiołem. Jego nawrót do natury był próbą zmniejszenia ponęt życia i przez to osłabienia grozy śmierci. I byłby dopiął swego celu, gdyby świat razem z Tołstojem zapadał w starość. Lecz ponieważ równoległości nie było, więc świat galopuje dalej, a wielki starzec — umarł.

Jakiż ideał stawia Tołstoj - reformator? Bądź prosty, łataj obuwie, jeżeliś szewc, czytaj ewangelję i pomagaj nieszczęśliwym. To przykazanie na dziś, a na jutro? Na jutro — to samo. Bądź prosty, łataj obuwie, czytaj ewangelję i pomagaj bliźnim. I na pojutrze to samo, i tak dalej, niezmiennie aż do śmierci. Gdyby się udało zamienić wszystkich ludzi mniej więcej w szewców, czytających ewangelję, to przez czas niejaki panowałby spokój i złagodzenie jątrzących się ran, jakie zadaje rozpędzone koło życia. Lecz po upływie pewnego czasu czcigodni szewcy zaczęliby, patrząc na siebie bogobojnie, zasłaniać dłonią usta i ziewać zlekka, parskać sobie w oczy śmiechem augurów, zżymać się po kątach i niecierpliwić. Potym zjawiłyby się sny—mniej lub więcej czerwone, a niecierpliwość rosłaby jak na drożdżach. Spętana ludzkość czułaby, że pazury, które miano jej wygubić, rosną sobie jak u rekowalescenta - tygrysa i łakną rozdrapywania. W końcu nastąpiłaby gwałtowna reakcja i ludzkość odpokutowałaby zawieszenie swych żywiołowych możliwości w wybuchach szału i zbrodni.

Jeżeli Tołstoj - reformator nie zostanie zapomniany i usunięty w mrok przez nowych genjuszów, to może kiedyś wybić jego godzina. Godzina ta nastąpi, gdy słońce zacznie gasnąć, energja życia się zmniejszy, zbliży się starość powszechna i ostatni dzień człowieka na ziemi. Wtedy ludzkość cała może być ogarnięta czcigodnym zapałem do zaparcia się, zrzeszenia i zbratania, a na krwawą reakcję po tej idylli szlachetności, — nie będzie już czasu!

*Tomasz Oset.*

## Ze spraw kobiecych.

Jedna z najdrażliwszych spraw kobiecych była przedmiotem obrad „Międzynarodowego Kongresu", który się odbył w ubiegłym miesiącu w Madrycie pod hasłem „walki z handlem żywym towarem".

W konferencji brali udział oficjalni przedstawiciele piętnastu państw, delegaci stowarzyszeń wstrzemięźliwości, liczni lekarze, socjologowie i działacze płci obojga.

Po sprawozdaniu przedstawiającym właściwy stan prawodawstwa w różnych krajach, rozpoczęły się ożywione dyskusje. Jeden z mówców domagał się wprowadzenia artykułu prawa karzącego „nabywcę" żywego towaru na równi z „handlarzem". Inni zaznaczali, iż ważniejszym od ustanowienia nowych obostrzeń, jest energiczne stosowanie istniejących przepisów.

Oddzielne posiedzenie poświęcono rozpatrywaniu kwestji: „Jakie przyczyny powodują rozszerzaniu się handlu żywym towarem? Zdaniem większości referentów, jednym ze źródeł złego jest reglamentacja prostytucji i urzędowe tolerowanie domów rozpusty, głównych a uprawnionych odbiorców żywego towaru. Poszukiwanie dalszych przyczyn stawia przed oczy eksploatację pracy kobiet, spychającą tysiące na dno nędzy, tej najgorszej doradczyni.

Zwracano uwagę, iż zgodnie z uchwałami innych zjazdów, omawiających prawodawstwo robotnicze, należy przedewszystkim uregulować warunki pracy chałupniczej. W tej bowiem dziedzinie, uprawianej

w znacznej części przez kobiety, szerzy się karygodny wyzysk, wymykający się z pod wszelkiej kontroli.

Wyzysk ten podsyca i podtrzymuje niezdrowa konkurencja, obniżająca ceny towarów, a w ślad za tym sprowadzająca płacę roboczą do istnych „salaires de famine".

Nabywczynie uganiające się za „bajecznie tanim" kupnem nie zdają sobie dostatecznie sprawy, iż najczęściej taniość owa nadmierna warunkuje się krzywdą robotnicy.

W celu zdobycia możności oddziaływania na poprawę warunków pracy, zawiązały sie w różnych krajach tak zwane „Ligi nabywców", popierające jedynie pracownie i warsztaty „uczciwie prowadzone". Są to oczywiście paljatywy, nie usuwające złego u podstaw. W każdym razie budzenie uczuć humanitarnych zasługuje na uznanie. Pożyteczną działalność rozwijają również „Związki Ochrony kobiet", otaczające bezpośrednią opieką młodzież żeńską.

W Finlandji, za wpływem współrządów kobiecych, związkom prywatnym przychodzą z pomocą urzędowe „asystentki policji", zajmujące się wynajdywaniem zarobku dla samotnych dziewcząt i wydźwignięciem z toni wykolejonych...

W większości państw sprawy te są lekceważone przez rządy... Kongres madrycki domagał się energiczniejszej akcji w tym kierunku.

Sprawa wyzwolenia kobiety istotnie zyskuje coraz liczniejsze koło uczestników.

Na ankietę odnośną, (ogłoszoną przez *Revue des Revues*,) odpowiedzieli w duchu przychylnym wybitni przedstawiciele opinji: politycy, uczeni literaci.

Popularny powieściopisarz Paweł Margueritte pisze pomiędzy innnymi:

„Kobieta powinna głosować, — wtedy jedynie zostanie wysłuchaną, i zdoła wprowadzić w życie ochronę społeczną dziecka, kobiety, starca — ochronę rasy, zagrożonej przez alkoholizm, syfilis i suchoty".

B. Poincaré uznaje „pożytek współdziałania kobiet w pracy obywatelskiej" ale boi się ich klerykalizmu.

Też same zastrzeżenia wyraża Fouillée przewidując iż „w krajach katolickich głosy kobiet szłyby, za głosem spowiedników, czerpiących natchnienie z Rzymu".

Parlamentarna grupa rzeczników praw kobiety we Francji popiera na razie projekt Buissona w nadaniu kobietom praw wyborczych municypalnych.

Próbowano wprowadzać również w życie hasło *równej płacy za równą płacę*.

W tym duchu brzmiał wniosek domagający się „na początek" zrównania płacy nauczycieli rządowych płci obojga.

Obrady na ten temat, przeciął minister finansów oświadczeniem, iż reforma podobna obciążyłaby budżet pozycją 9 miljonów rocznie. — Należy zatym przygotowywać się do niej oględnie, obmyślając przedewszystkim źródła powiększenia dochodów państwowych.

Na razie nietylko że nie ulżono doli nauczycielek ale za przykładem Niemiec — poczęto usuwać z posad nauczycielki mężatki.

Zarządzenia te spotykają się z pełnym oburzenia protestem.

Świeżo, w liście otwartym do Brianda, Herta Mirtel zwraca uwagę rządu iż „chwila obecna,—w której Izba i Senat obradują nad środkami zabezpieczenia Francji przed klęską wyludnienia nie wydaje się odpowiednią dla pozbawienia chleba mężatek". Decyzje zresztą w sprawach dotyczących kobiet nie powinny zapadać bez udziału interesowanych. „Izba" i tak ulegać wmusi wielu wypadkach wpływowi kobiet. Wiadomo naprzykład, iż uchwalone świeżo przez Senat prawo dozwalające na poszukiwanie ojcostwa inspirowanym było przez wytrwałą kompanję stowarzyszeń kobiecych. Czas zatym aby współpracownictwo obu płci w życiu publicznym było bezpośrednim, jawnym i odpowiedzialnym.

Reforma, która wydaje się dotąd we Francji „ryzykownym eksperymentem" wchodzi coraz szerzej w życie za oceanem.

Ostatni zeszyt miesięcznika „*Jus Suffragii* — organu „Wszechświatowej Ligi praw wyborczych" donosi, iż Stan Waszyngton wprowadza głosowanie kobiet, w uznaniu ich obywatelskiego współdziałania w innych Stanach.

*Orka.*

# BADANIA NAUKOWE.

## Pobożne szalbierstwa.

(*O. Wassman*: Trzy odczyty o ewolucji).

Kiedy Darwin przed półwiekiem wystąpił ze swą teorją powszechnego przerództwa gatunków, uderzyły weń gromy teologiczne, jako w herezjarchę i gorszyciela. Dziś ewolucjonizm stał się najistotniejszę zdobyczą kultury nowoczesnej. Teologja kościelna nie śmie przeciwstawiać mu się otwarcie i szczerze; przestała już nawet wierzyć w swe zwycięztwo; niemniej atoli broni swej nie składa; wyczerpawszy wszelkie środki lojalne, probuje nadal walczyć podstępem i szacherką. Typowym przedstawicielem tego systemu walki jest O. Wassman, członek Tow. Jezusowego.

Ojciec jezuita, przystroiwszy się w skórę przyrodnika, probuje zachwiać kredyt poglądów naukowych, które mu są niewygodne, ponieważ zawadzają jego doktrynie katolickiej. Jak na jezuitę manewry Wassmana nie są dość przebiegłe. Jedne już są stare jak np. granie roli ogromnego, przesadnego sceptyka, co robi wrażenie pieczołowistości o dobro nauki, będąc w istocie intryganckim warcholeniem przeciw niej. Inne znowu manewry obliczone są na brak wyrobienia umysłowego słuchaczy i czytelników, którzy na niejednej szacherce nie potrafią się poznać padając ofiarą swej łatwowierności.

Wassman nie czuje się na siłach stoczyć walnej bitwy z wiedzą przyrodniczą, więc usiłuje trapić ją i nękać partyzanckimi wycieczkami. Z tego powodu zdemaskowania Wassmana niepodobna dokonać ryczałtowo; rozpaść się ono musi na oddzielne dość luźno związane punkty, odpowiadające świadomym lub mimowolnym szacherkom apologety.

Na str. 11 pan Wassman wygłasza zdanie następujące: „Teorja ewolucji nie jest nauką doświadczalną i być nią nie może. Co do istoty swej jest ona teorją składającą się z pewnej grupy hypotez, które stanowią harmonijną całość i dają najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie gatunków organicznych". Co się tyczy tego twierdzenia, to zauważyć należy, że teorja ewolucji tylko w tym znaczeniu nie jest nauką doświadczalną jak nią jest chemia np. lub fizyka t. j. że w tym zakresie doświadczenia nie mogą być dowolnie przedsiębrane przez człowieka. Chociaż teorja ewolucji nie jest nauką doświadczalną w guście jakiejś chemji lub fizyki, to przez to jednak charakter doświadczeniowy jeszcze nie jest jej odjęty.

Eksperymentatorem w zakresie teorji ewolucji nie jest człowiek lecz przyroda, a człowiek jest tylko świadkiem tych doświadczeń przyrody.

Z tego powodu o ile człowiek posługuje się skrzętnym spostrzeganiem zjawisk i dokładnym poznaniem faktów, wnioski jego stąd wysnute posiadają dostateczną dozę ścisłości. Jeżeli więc Wassman usiłuje efektownym frazesem zdegradować te wnioski do rzędu hypotez to popełnia szacherkę. Acz nie bez przypięcia łatki, Wasseman oznajmia, że sam jest wy-

znawcą teorji ewolucji i zgłasza swą przynależność do obozu polifiletystów. Dotąd jest wszystko w porządku, skoro monofiletyzm nie może być poglądem na tyle udowodnionym, ażeby stać się obowiązującym.

Ale Wassman czyni to jakby tylko dlatego, że to ułatwia popełnienie innej szacherki.

Opierając się na tym, że w kosmogonicznej części Pisma świętego mówi się, że na ziemi i w wodzie powstały skutkiem twórczego słowa Boga „różne gatunki" roślin i zwierząt, Wassman chyłkiem puszczając w galop wątek swych wywodów usiłuje zasuggerować pogląd, że Pismo św. stoi na gruncie polifiletystycznego poglądu i przemyca twierdzenie, że Pismo św. nie przeczy teorji ewolucji.

Tu musimy trochę powstrzymać za poły wielebnego patra i trochę głębiej wniknąć w treść tego co mówi. I w tej i w tamtej szacherce ujawnia się usiłowanie pozorną słuszność sprzedać za istotną, nie dając słuchaczom czasu na zastanowienie się.

Czysto formalnie rzecz traktując, rzeczywiście Pismo św. nie przeczy teorji ewolucji. Ale dopiero wtegdyby można było utrzymywać, że Pismo św. „potwierdza" teorję rozwoju wolno byłoby utrzymać, że Pismo św. pozostaje w zgodzie z teorją rozwoju, a potwierdzenia teorji rozwoju cytatami Pisma św. nie podjąłby się nawet sam O. Wassman pomimo swego jezuickiego wyćwiczenia.

Graficzna statystyka, lub teorja budowy mostów też nie przeczą teorji rozwoju mimo to jednak nie wolno doszukiwać się uzgodnienia pomiędzy jedną i drugą. Grzech taki wszakże Wassman popełnia skuszony pożądliwością swej katolickiej doktryny. Pismo św. jest księgą tradycyjnie przekazywanych podań i legend, powstałych na wiele wieków przed ich spisaniem. Legendy te były jedynym dorobkiem kulturalnym tych, którzy je spisywali, więc normowały one ich życie. Jeżeli się znajdzie przypadkowo jakieś zewnętrzne podobieństwo w nim z teorją rozwoju to nie wolno w tym upatrywać ani sankcji tej teorji ani uzgodnienia z nią. I techniką stworzenia i całokształtem światopoglądu Pismo św. pozostaje w niezgodzie z przyrodoznawstwem, pomimo, że korzystając z symbolicznego, obrazowego, wielce nieścisłego stylu rozmaici interpretatorzy teologiczni Pisma mają możność dowolnie, z wielką swobodą naciągać i naginać tekst tych ksiąg do celów okazujących się w danej chwili wygodnymi.

Gdy więc Wassman twierdzi, „że *chrześcijański* światopogląd najzupełniej się godzi z naukowo przyrodniczą teorją rozwoju", to popełnia nadużycie słów. Naukowo-przyrodnicze teorje nie operują takimi pojęciami, jak twórcze słowo Boga, więc już to samo obala ową „najzupełniejszą zgodność" skonstruowaną przez autora.

Popełniwszy powyższe dwa rozumowe szalbierstwa, Wassman opuszcza niewygodny dla niego, trwały, stały ląd wiedzy, operującej faktami, doświadczeniem i wnioskami, mogącymi podlegać kontroli i sprawdzeniu. Woli on rzucić się w niezgłębione nurty rojeń wolnych od sprawdzianów, gdyż w tym żywiole można z pozoru na wszystko sobie pozwolić: można nurkować, wypływać, każdy kierunek obrać. Tak robią zawsze od dawna ci, którzy spiskują przeciw nauce i chcą ją wplątać w zastawione sidła. Manewr taki jest zrozumiały, gdyż na pierwszy rzut oka (na ten najwięcej Wassman liczy w swych odczytach) wydaje się, że gdzie wszystko wymyka się z pod kontroli, wszelki wybryk myślowy jest równouprawniony i nietykalny a więc także koncepcje teologiczno - katolickie.

Na grunt metafizyki Wassman schodzi jeszcze i dlatego, ażeby stoczyć bój z monizmem i zabiera się do tego w stylowy sposób: zwalcza on nie ten trudny do zwalczenia monizm, który do wiedzy doświadczalnej jest dostosowany, lecz monizm jakiś mętny, włóczęgowski, tułający się po rozmaitych głowach, trochę sfabrykowany przez samego p. Wassmana, trochę zapożyczony od Haeckla, trochę od deistów, gdyż z takim łatwiej brać się za bary i utrzymać się w roli mocarza i pogromcy.

W myśl poglądu monistycznego, wszystkie dostępne spostrzeganiu zjawiska uświadamiają się i występują zawsze w obrębie materji i sprowadzają się do przemian tej materji i tkwiących w niej energji. Ponieważ nie stwierdzono dotąd materji bez energji poza obrębem materji, lecz zawsze nierozdzielnie występujące za sobą, przeto materję i energję należy uznać za coś nierozdzielnego, warunkującego się wzajemnie; inaczej, że energja jest poszczególnym stanem materji a materja poszczególnym stanem energji. Co się tyczy osławionej „duchowości", która pokutuje w głowie nietrzeźwych mistyków i przekazaną nam została przez mroki odległych dziejów myśli ludzkiej, to monizm, liczący się z logiką i pozytywnymi danymi wiedzy nie może dać innej odpowiedzi, jak tę: albo wszystko jest duchowością i duchowość jest pierwotną własnością elementarnej pierwiastkowej pramaterji i praenergji, zespolonych w jedno, albo nic nie jest duchowością a tylko automatyzmem, którego uwidocznić nie umiemy jedynie ze względu na ubóstwo rozporządzalnych środków badawczych. Czy tak zwana duchowość jest swoistą postacią energji, czy też syntezą zespołu prostszych elementarnych energji, dostępnych naukowemu badaniu, pozostaje to kwestją otwartą.

Pojęciem „Boga" monizm naukowy nie operuje wcale ani jako kategorją myślenia, ani jako teorją, mającą wyjaśniać całokształt zjawisk lub poszczególne jakie zjawiska. Pojęcie Boga należy całkowicie do zakresu badań dziejów kultury ludzkiej, gdyż powstaje ono na gruncie walki o byt z przyrodą, lub między ludźmi i na gruncie dziejów myśli ludzkiej, z których się okazuje, że nie Bóg stworzył człowieka na obraz i podobieństwo swoje, lecz człowiek tworzył sobie w rozmaitych czasach i miejscach swego Boga, jaki mu w danych warunkach był najdogodniejszy.

Monizmu tego pokroju Wassman nie zaczepia, rozumiejąc, że zwalczając, trudniej mu będzie grać komedję wielbiciela nauki przy jednoczesnym podkładaniu pod nią min. Zamiast tego, wysuwa on jakąś fikcję deizmu, którą chrzci mianem monizmu. Poglądem zasadniczym owego deizmu jest twierdzenie, że Bóg i świat to jedno, gdy tymczasem dualizm upatruje w tym dwie odrębne istności. Po tym zestawieniu Wassmann raczy swoich słuchaczy opisem tak dokładnym Pana Boga, jak gdyby z nim wiele beczek soli zjadł, ażeby zakończyć ten zdumiewający opis osobliwym określeniem, że „Bóg osobowy jest samą w sobie i samą przez się istniejącą pełnią". Pytanie, czy ta paplanina dorobiona przez niego do własnych gustów myślowych, jest zrozumiałą dla samego Wassmana?

Ten Bóg sfabrykowany i spokrewniony przez Wassmana, przy bardzo dobrej woli może dałby się pomyśleć, lecz poza tym jak stwierdzić jego konkretny byt?

Wreszcie w tej łagodnej formie może on sobie istnieć w głowach teologów nieszkodliwie. Rzecz w tym, że w życiu ma się do czynienia z zupełnie innym bogiem, który bardzo konkretnie i realnie odbija się na skórze narodów i ich losach, który w niczym nie jest podobny do boga, naprędce skonstruowanego przez Wassmana dla pokonania monizmu.

Ojciec Wassman nie zadowala się konstruowaniem Boga, ale jeszcze tak dokładnie opisuje stworzenie świata przez niego, jak gdyby sam Wassman brał udział czynny przy warsztacie stworzenia w charakterze pomocnika.

To wszystko jest bardzo piękne i wzruszające, lecz dopóki Wassman nie przekona nas, że on sam rozumie to, co mówi, wiedza musi przejść nad tym

wszystkim do porządku dziennego, jako nad amatorskim gadulstwem.

Więcej już sprytu wykazuje Wassman, gdy usiłuje bezskutecznie przeforsować zasadę celowości, i przeznaczenia tak wygodną dla jego doktryny. Zasada celowości i przeznaczenia służy jezuitom wojującym z wiedzą do zniesienia zasady przyczynowości. Idea celowości pasuje do poglądu kosmogonicznego, w myśl którego mądry duch, bytujący samodzielnie poza obrębem materji jako jakaś zasada czy abstrakcja, materję tę stworzył, nadawszy jej prawa rozwojowe i w drodze łaski zamieszkał nawet w tej materji. Łaskawość swą posunął ów duch tak daleko, że sam, jak jaki lojalny konstytucyjny monarcha. dopóki przebywa w owej materji, poddaje się prawom, nadanym tej materji, zastrzegając sobie na wszelki wypadek prawo zawieszania tych praw, w drodze łaski i ustępstwa nadanych.

Te dziecińbstwa może są przemądre, ale dopóty nie mogą obowiązywać nieco wybredniejszych umysłów, póki nie staną się zrozumiałymi, póki nie znajdą w zachodzących wciąż zjawiskach potwierdzenia choćby tego, że tak mogło być z pominięciem już udowodnienia, że tak było. Gdy jednak poznanie zjawisk zachodzących w otoczeniu mówi to, że tak być nie mogło, to tego gatunku filozofję należy postawić poza nawiasem wiedzy poważnej, operującej pewnikami lub domyślnymi możliwościami. Tam gdzie choć trochę sceptycyzmu by się przydało jak np. w powyższym wypadku, p. Wassman nie umie, a raczej nie chce się nań zdobyć, natomiast tam gdzie mu to jest wygodnym szafuje tym sceptycyzmem, aż do przesady, mianowicie gdy mu chodzi o to, by zachwiać pogląd o zwierzęcym pochodzeniu człowieka.

Pan Wassman dlatego, żeby być przekonanym, prawie żąda, by w jego oczach odbył się rozwój człowieka od przodków zwierzęcych, na mocy czynników sformułowanych przez Darwina. Uznawaną przez siebie teorję ewolucji nie chce on widzieć zastosowaną do człowieka, a „chcenie" p. Wassmanowi najczęściej wystarcza zamiast argumentu.

Gdy jednak wykrętne sztuczki, któremi usiłuje osłabić dowody rzeczowe, uzasadniające ten pogląd, jego samego mało przekonywają, więc, mówiąc o przepaści dzielącej człowieka od zwierzęcia, wskazuje na duchowość człowieka jako na główny wskaźnik tego odosobnienia człowieka od reszty świata zwierzęcego. Nawet mniej jeszcze, bo p. Wassman w końcu nawet przyznaje że zoologiczna natura człowieka może znajdować się w genetycznym związku z całym światem zwierzęcym, ale *duchowa* jego natura dowodzi obecności boskiego pierwiastku w człowieku. O. Wassmanowi się wydaje, że gdy jego wyobraźnia namaluje jaki obraz i on jego treść z wielką pewnością siebie wygłosi, to powinno to wystarczyć; dowody są już wtedy zbyteczne.

Za cały dowód, mający mieć wystarczającą siłę przekonywającą, Wassman przytoczył ustęp z Pisma św., w którym jest powiedziane, że Bóg tchnął ducha w oblicze człowieka. Kto nie umie zdobyć się na poważniejsze argumenty z tem zdaje się nie warto poważnie rozmawiać, i ten nie może rościć innych pretensji jak tylko do przekonywania przekonanych, lub chcących być przekonanymi.

*Alexy Kurcjusz.*

# LITERATURA i SZTUKA.

3)

## Syn Marnotrawny.

(fragment groteskowy).

Około godziny jedenastej wieczorem, gdy poddani Zielonopłaszcza tęsknym wzrokiem spoglądali na łóżka, marząc o tym, że legną nareszcie pod kołdrami i pierzynami, król, po zażyciu niewinnego lekarstwa, dostał furji i lejb-medyk zaopiniował, że odosobnienie monarchy w pokoju obitym materacem wpłynie kojąco na system nerwowy władcy. Pod wpływem środków uspokajających uśmierzyła się wściekłość królewska, a o północy cisza zaległa obszerną komnatę, gdzie Zielonopłaszcz został sam z myślami o niestałości chwały królewskiej, kruchości rozsądku i obrzydliwości gwałtu.

Dwa cienie przekradły się korytarzem i przez otwór w drzwiach śledziły zdetronizowaną wielkość. Była to królowa (w ciemnym płaszczu z kapturem) i Syn Marnotrawny.

Zielonopłaszcz w swym ulubionym pstrym stroju, który przywdziewał, ilekroć nie występował publicznie, siedział na podłodze i kawałkiem odłupanego ze ściany tynku, kreślił słowo, którego na razie niepodobna było odczytać.

— Co on pisze? — szepnęła królowa.

Jedna lampa, zawieszona wysoko, w celi więźnia, oświetlała bladą twarz, zagasłe oczy i chudą rękę króla.

— Pisze?... Zaraz pani powiem... Ach, tak, ekskról pisze:

Thalassa...

— Cóż to jest?

— To znaczy: morze... Król jest wykształcony klasycznie!

Młody kanclerz uczuł się wzruszony:

... — Ten biedny człowiek... ten król opuszczony przez wszystkich... któremu ślina ciecze po brodzie... szaleniec zapewne... jak każdy z nas... zamknięty w czterech ścianach... resztkami myśli ściga widocznie obraz morza... Nie o zemście... lecz o morzu myśli... stał się mędrcem... Cóż uczyniłem?...

Łzami napełniły się oczy Syna Marnotrawnego.

Królowa podała mu usta:

— No — szepnęła gorącym szeptem — chodź... Uśmiechała się szeroko i cicho Widział, że z chciwą rozkoszą wypija z jego oczu mękę sumienia.

* * *

„Ach, jak ta fontanna płakała tam za oknem! Ach, jak blade były ramiona królowej! Nigdy niebo nie było tak puste... Czy gwiazdy zeń uciekły? Czy rozdarła się zasłona, która jest kresem dla oczu i z poza niej wyjrzała straszliwa niezgłębiona pustka? Pustka tak okropna, że ptak, który się tam wzniesie, zawraca z krzykiem".

Tak myślał Syn Marnotrawny w trzy miesiące później, gdy już okwitało drzewo cudzołożenia jego z żoną Zielonopłaszcza.

Obudził się młodzieniec i wzdrygnął. Światło wdzierało się do komnaty.—Co znaczy ta obca mi kobieta, która tak ciężko otacza ramionami mą szyję. Oczy w pół przymknięte śledzą me usta: chcą wydrzeć z nich tajemnicę, myśl najulotniejszą odrazu zniweczyć. Gdyby wiedziała że kocham świat wielką miłością — zapragnęłaby go zburzyć, aby mnie przekonać, że i potem ucałuję jej ręce, ubroczone we krwi po pachy i pełne przekleństwa. A ja, kiedy się schylam, aby wycałować jej oko — czuję w sobie duszę ptaka drapieżnego, który mierzy krzywym dziobem w źrenicę, aby ją wyłupić. Nie chcę więcej tych pieszczot, które kłapią zębami i grożą.

Wtedy to odbyła się między Synem Marnotrawnym a królową pamiętna w jego życiu scena, w znacznej mierze — milcząca.

Królowa wstała, unikając wzgardliwie jego wzroku. A gdy się oczy ich zetknęły — zimne jej źrenice rzekły mu:

„Cóż mi do tego, jakim jesteś człowiekiem i czy nim jesteś..."

Wtedy w Synu Marnotrawnym zapalił się gniew. Czekał, co będzie dalej.

„Narzuciłam ci ciało moje. Upajam cię i gardzę tobą...”

To „gardzę” rzucone oczyma z cierpkim, zuchwałym okrucieństwem, sprawiło, że zadygotał z wściekłości. Szczęki mu zastukały. Oczy zakipiały. Zacisnął pięści, aż paznogcie wpiły się w ciało.

Widziała to wszystko. To właśnie roskoszą było dla niej. Napawała się. Jej oczy zajaśniały suchym blaskiem. Zaśmiała się głośno, urągliwie. Wtedy zimny dreszcz przejął ciało jego aż do rdzenia kości. Chciał rzucić się na nią, obalić ją i włóczyć po ziemi (tak się czuł oszukanym przez nią, oplwanym i nadużytym!). Lecz ona powstrzymała jego wściekłość świecącymi szyderczo, mocnymi oczyma.

„Nade mną znęcać się nie wolno — mówił jej wzrok, a ja — mogę”...

Potym weszła do drugiej komnaty, zagłębiła się w fotelu, zakryła twarz dłońmi. Czuła, że to jeden z najpiękniejszych momentów jej życia.

Gdy wróciła do sypialni, Syn Marnotrawny siedział tam jeszcze nieruchomo, jak w osłupieniu:

— Już jesteś spokojny — rzekła. — Teraz możesz ucałować me ręce...

Była w czarnej sukni i naszyjniku djamentowym. Położyła mu na ustach ciężko swe nagie, olśniewające ręce, bez klejnotów, miażdżyła mu wargi ciałem swych rąk, szeptała:

— Szukałeś może prawdy we mnie? Nie znalazłeś jej, lecz przyznaj, pieszczoty moje, choć zwodnicze, są ci potrzebne. No, rozchmurz czoło. Powtórz raz jeszcze, coś mówił tyle razy. Powiedz: „garniesz do siebie jak otchłań, a oczy masz jak pustynia...”

Milczał upokorzony. Jego wargi wpijały się z nienawistną rozkoszą w jej ciało, wiły się po nim, kąsały je...

Królowa się śmiała.

Syn Marnotrawny myślał:

„Porzucę jej ciało... Opuszczę dwór królewski i upokorzenie moje... Będę znów wolny...”

Ciężki smutek dręczył mu serce.

* * *

Nie opuścił jednak dworu królewskiego. Ujrzał księżniczkę Jolantę i dusza jego zaczęła żyć w zachwycie.

O księżniczko Jolanto, dzięki ci, że mieszkasz w tym zamku. Jakaż dobrotliwa wróżka pielęgnowała cię w dzieciństwie, że takim urokiem tchną twoje ruchy? Przebiegłem park wieczorem i myślałem o tobie. Gdym cię mijał, ujrzałem na drożynie chrząszcza, który niósł pracowicie swój pancerz zielony na grzbiecie. Obeszłaś go ostrożnie, unosząc sukni, aby nie wyrządzić mu krzywdy. Ciągle myślę o tobie. . Cóż to za niewola i rozkosz upajająca! Ocaleniem moim jesteś przed królową.

— O czem tak myślisz młodzieńcze? — zagadnął Gardzipług, wysuwając się z za pnia lipowego. — Przysięgnę, że o kobiecie. O wieku szczęśliwy, kiedy monomanja nawet nie jest zabarwiona posępnie! Jaśnieje jak krew, uśmiecha się jak błękit! Jeżeli tylko młodzieniec przechodzi milcząc, bez spojrzenia, koło starego przyjaciela, biorąc go za krzywy pień wierzbowy, to rzecz pewna, że jest zakochany. Czy nie w królowej? No... no... Umiem uszanować tajemnicę serc młodych, choć uprzedzam: ściany tu mają uszy... O jedno proszę i radzę: nie daj się opanować, młodzieńcze... nawet królowej. Wierzaj mi, kobieta złym jest, gdy przewodzi, dobrym, gdy ulega... I ja byłem w twoim wieku, i ja kochałem—zanim się poświęciłem stanowi duchownemu. Dziś spoglądam na dzieje już przebyte z melancholją wyprowadzonego w pole rozumu! Ileż scen, łkań namiętnych, próżności, podeptanej ambicji, znęcania się uniknąłbym, gdyby nie to, że miałem serce sentymentalne. Najbardziej podobają mi się dziś jeszcze—we wspomnieniu - te chwile, kiedy brałem kobietę i jej szatana—kobieta bowiem i szatan stanowią jedno, jak tors ludzki i kadłub koński w centaurze—i spychałem w pieniące się morze wieczności. Plusk! plusk! Padała na dół, a ja mówiłem za nią: — Niech że cię tam inny rybak wyłowi, moja droga. Rozumiesz, że owo morze to tylko przenośnia i że właściwie poprostu wypychałem ją za drzwi. Czyżby namiętność twoja do królowej, mój synu, przebywała okres wulkanicznego fermentu? Niech że się z tego jaja wykluje coś mądrego dla dobra państwa i osób wiernych tronowi...

(C. D. N.) *Leon Choromański.*

# KRYTYKA LITERACKA i ARTYSTYCZNA

## Teatr Reinhardta w Berlinie.

Ktokolwiek zna teatr Stanisławskiego w Moskwie, ten łatwo pozna jego wpływ dominujący na wszystkie teatry a szczególniej na teatr Reinhardta.

Może to za dużo powiedziane — wpływ. Przyszła taka epoka i ludzie możni próbowali wcielić w życie to, o czym marzyła ich artystyczna dusza. Jednym z nich był Stanisławski, drugim Reinhardt. Jak zawsze wywołał i ten piękny czyn rozmaite dyskusje. Uważano, że takie wyszkolenie zespołu, zabija indywidualność, że zgoła szkodzi autorowi. Jest to nieprawda, wynikła z zupełnie banalnego pojmowania zadań teatru i roli publiczności. Może się tym zwolennikom indywidualności wydało, że Hamlet ma jedynie grać dobrze, a otoczenie jego ma być bez talentu, że Hamlet ma mieć dobry kostjum, a otoczenie ubrane ma być licho, że wreszcie Hamlet ma grać na brudnej, źle oświeconej scenie i swą cudowną samotność odrzynać od banalnych warunków życia, wybijać się w niedoścignione sfery, stawać się bez porównania wyższym nad otoczenie. Czy nie zawiele poezji wlano w ten błąd? Czy rzeczywiście trzeba aż tyle, aby pojąć, że Hamlet jest samotny i niezrozumiały. Chyba publiczność nie zapatrzy się tak dalece na Poloniusza i giesty, żeby zapomniała o obecności Hamleta. Maeterlinck chciał, żeby lalki pokazywały jego najcudniejsze dramaty — ale dramaty jego były djalogami przeczuć, instynktów i wrażeń — te mogą przemawiać monotonnie, ruszać się mało, bo treść ich jest poza zmysłowa. Dla zwykłego teatru nietylko takich aktorów trzeba, a któż jak nie najlepsi podejmą się grać w myśl Maeterlincka—Ślepców lub Intruza? Któż jak nie artyści, potrafią stać się cieniami w potrzebie? A ponieważ niema uczuć mniejszych lub mniej godnych, ponieważ niema ludzi zupełnie niepotrzebnych na scenie, więc nie może być i złych aktorów, którzyby nie roili, którzyby raczej podnosili efekt. Przeciwnie, im bardziej zagłębiać się w pojęcie sceny, tym bardziej życzyć sobie można, żeby wszyscy aktorzy byli artystami. Wynika to zarówno ze zrozumienia życia, w którym każdy człowiek jest i może być artystą, albo raczej przestawiony być jako symbol, to jest artystycznie — wynika to ze zrozumienia najbardziej uduchowionych sztuk, których gra wymaga tym bardziej inteligencji i doskonałej harmonji wykonawców.

Nie możemy zatym nic znaleźć na usprawiedliwienie tego mniemania, jakoby Meiningeńczycy albo teatr Stanisławskiego zabijali indywidualność. Powiedzmy raczej, że w każdej trupie trudno o wielkie talenty, że ich w całej Europie niewielu znajdziemy,

że jednak ani Duse ani Kainz nie straciliby blasku, grając u Stanisławskiego, lub u Reinhardta.

To może jest jedyną stroną słabą teatru berlińskiego, że wybitnych, porywających talentów ma mało. Co prawda, trudno o tym sądzić, patrząc na sztuki Hebbla i Szekspira. Dla niemieckich klasyków gra musi być niemiecką, to jest obliczona, pojęta dobrze, może dlatego właśnie sztywna. Doskonale pojęli to Niemcy, tworząc osobne teatry Ibsenowskie, bo klasycyzm Hebbla z jego trochę zawikłaną psychologją bardziej jeszcze zawikłanym stylem i patosem wymaga pewnej macierzy. Ruchliwi i namiętni Francuzi skandują z powagą Racina i niktby nie poznał trzpiotowatego aktora w roli klasycznej. Mimo to wszystko, jest coś chłodnego w grze niemieckich aktorów, czego im nigdy darować nie będziem mogli. Francuzi nazywają teatry niemieckie pierwszymi na świecie — licząc w te pochwały i pochwałę urządzeń mechanicznych i rozmaite inne dobre strony — ale dla nas gra średniej trupy francuskiej ma zawsze więcej uroku, niż zespół Burgteatru, albo nawet Reinhardta. Już sama dykcja przejrzysta i wyraźna Francuzów i Włochów porównać się nie da z tym warczeniem, który najlepszy aktor niemiecki w chwili patetycznej używa. Smak w wyborze i stopniowania wrażenia jest u Francuzów zawsze wykwintne—u Niemców zawsze logiczne. Francuz pojmie, że wielka boleść czasem krzyczy, a czasem szepcze — Niemiec dwa razy większą boleść wyraża dwa razy głośniejszym krzykiem i biada nieotrzaskanemu, kiedy mu przyjdzie wysłuchać monologu Judyty w przedostatnim akcie. W charakterze narodu tego zdaje się leżeć trzeźwość i logika. Grać nie potrafią, przejmować się nie potrafią, mogą tylko nauczyć się dobrze. Czasami to wystarczy i czasami tego bardzo brak w grze naszych wielkich talentów. Taki Zacconi przy końcu sztuki staje się już nieznośny, tak dalece znudzą się prędko effekty taniego kabotynizmu, ale jego gra ma tę niezrównaną swobodę i lekkość, którą zaledwie najlepsi Niemcy w najlepszych odnajdują chwilach. Niema dość słów pochwały dla inteligencji i sumienności teatru Reinhardtowskiego; wszystko w nim gra doskonale, wszystko gra rozumnie, wie, czego chce, co mówi, nie paple słów, tylko je odczuwa. Można ich widzieć sto razy i nie przestać szanować, chciałoby się przenieść trochę tej inteligencji i pracy na płodny i bujny grunt słowiańskich talentów — ale mimo całego uznania dla osoby aktora nie przestaje się pamiętać, że to jest aktor. Kiedy Holofernes np. toczy groźnym wzrokiem dokoła, to może Niemiec widz — wiedząc, że to ma być groźny wódz i potężny władca — struchleje, ale każdy z nas troszeczkę się tym „roulement des yeux" ubawi. Kiedy Ojciec Emilji Galotti wychodzi i za sceną jeszcze tupie nogami na znak, że wyszedł „ciężkim krokiem" to sprawa ta wydaje się niesłychanie logiczna, ale zdziebełko śmieszna. Otóż oni, ci filozofowie „n'ont pas le sens du comique" jak o nich mówił Goncourt, oni dopiero na rozkaz: halt! przestaną się martwić, albo cieszyć; własnej miary w nich niema. I dlatego nadają się cudownie do organizacji, do zespołu — choć czasami nie wiedzą, co mają z tym zrobić — dlatego sceny zbiorowe i role drobne są ozdobą tego teatru — może dlatego wynikło fałszywe zdanie o zagłuszaniu wybitnych przez zbyt dobrych, małych. W każdym razie nietylko obmyślenie drobnych efektów, ale i wykonanie ich wymaga pracy, inteligencji i kosztu. W tych wielkich kosztach leży przyczyna, dla której tak mało dobrych talentów mamy. W teatrze nic nie może być za drogie, na niczym oszczędzać nie można. Miljonowa fortuna nie opędzi potrzeb teatru, żadna subwencja nie może być za duża; żaden teatr opłacać się nie może, to nie jest dochód, to jest zbytek. Ci naiwni, którzy gotowi są grać w skromnych warunkach, nierozumieją, że w takich warunkach wcale grać nie można. Pojęli to wszyscy, którzy kiedykolwiek sceny wielkie tworzyli.

Pisałem kiedyś o wystawie Stanisławskiego i nazywałem dekoracje akompanjamentem. Wystawa staje się rzeczywiście w sztuce tym, czym orkiestra w operze; w niektórych sztukach widać to wyraźnie, ale któż nie pojmuje, co znaczy nastrój pokoju, jak charakter umeblowania cechuje usposobienie i życie przedstawionej jednostki, ile można zyskać przez podniesienie złudzenie. Wszelkie nawoływania do rzeczywistości tu nic nie pomogą, nikogo nie przekona twierdzenie, że przecie to wszystko nieprawda, że cała plastyczność wystawy nie zbliży nas o krok do prawdy. Tu wcale nie chodzi o to, aby naiwny słuchacz ostrzegł aktora przed grożącym mu niebezpieczeństwem, tylko o całość naszego wrażenia artystycznego, o dogodzenie naszemu nawyknieniu.

I pod tym względem scena Reinhardta spełnia swoje zadanie. Tam kurtyna nie spada na zieloną trawę — mur nie styka się z lożą parterową — wszystko odsunięte i oświetlone należycie daje wrażenie bez zarzutu. Nie przeczę, że spokojny materjalizm obecnej sceny może z czasem wywoływać uśmiech politowania, że może przyjdą czasy, kiedy innymi środkami wytwarzać będzie scena doskonałą harmonję — nie trwożmy się, na razie dużo jeszcze do zrobienia pozostaje — a kiedy nastąpią czasy inne, zapewnie stworzą początek ci sami, którzy dziś w spółczesnej sztuce celują.

*D-r W. Moraczewski.*

# Z roku Chopinowskiego.

Refleksje

Dobiega końca rok, który cały świat muzyczny — nie tylko polski—obchodził jako stuletnią pamiątkę urodzin Fryderyka Chopina. U nas jak wiadomo rozpoczęły się uroczystości w dzień stuletniej rocznicy urodzin dnia 22 lutego koncertem w sali Filharmonji; wspaniały pochód kilkudziesięciu delegacji składających u stóp popiersia Chopina stosy wieńców — przy dźwiękach A-dur Poloneza pozostanie na zawsze w pamięci świadków tej chwili...

Lwów urządzający w końcu października tydzień trwający obchód Chopinowski na wielką skalę—w połączeniu z pierwszym Zjazdem muzyków polskich — zakończył i niejako dopełnił to co Warszawa rozpoczęła; poza tym postarały się o obchody mniej lub więcej uroczyste Kraków, Poznań i wszystkie większe i mniejsze miasta prowicjonalne; nietylko miasta ale pojedyncze korporacje i stowarzyszenia wszędzie, gdzie tylko warunki na to pozwalały, czciły pamięć Chopinowskiej rocznicy...

A zatym ogólny wynik bilansu — dodatni; ale... co dalej? czy ten szereg wieczorów gromadzących setki ludzi w mniej lub więcej uroczystym nastroju pozostawił jakiś osad wrażeń, które mają mieć głębsze kulturalne znaczenie? Czy ta gotowość i, powiedzmy, umiejętność w uczczeniu rocznic nie jest u nas tylko bardzo pięknym gestem, w rezultacie bez znaczenia nie jest ową żądzą wzruszenia się — „podniosłą łzą na chwilę", o której z taką goryczą wspomina raz Wyspiański: odpowiedź na ten szereg pytań nie zbyt trudna. — Obchody w rodzaju tegorocznych Chopinowskich są do pewnego stopnia potrzebą ogółu — jako objawiający się od czasu do czasu widoczny znak czci i hołdu dla wielkich dzieł i wielkich twórców; ogół jednak zdolny do chwilowych uniesień i krótkotrwałych podniet ducha nie może sam z siebie wyprowadzać konsekwencji rocznicom podobnym jak tegoroczna należnym. Nad tym muszą czuwać jednostki — w tym wypadku artyści muzycy sami, aby

poziom sztuki po rocznicy nie opadał lecz się podnosił. Bo cześć dla takiego artysty i twórcy jakim był Chopin — u *nas* zwłaszcza musi głębiej być objawioną niż przez sam kult dla jego kompozycji; — Chopin, który dziełami swemi zdobył dla polskiej muzyki tak poważne miejsce w dziejach wszechświatowej kultury — winien być czczony również przez nieustanne dążenie do utrzymania tego sztandaru polskiej sztuki muzycznej na wszystkich jej polach — w kompozycji — w dziedzinie wykonawczej — w pedagogji — w krytyce muzycznej; wszyscy więksi i mali powinni dążyć w swym zakresie do doskonałości artystycznej, która dopiero według słów Norwida „złoży się na całość narodowej sztuki".—Samokrytycyzm Chopina, jego wysokie ideały artystyczne, powinny przyświecać naszej pracy na polu sztuki; — bo naród nie zawsze ma i mieć może genjuszów — ale za pracę codzienną, za jej wartość i doniosłość odpowiedzialnym jest każdy — na każdym polu — a należyte wykonanie zadania w swoim zakresie wystarczy aby całość była na wyżynach kultury.—

Takim winien być wpływ rocznicy urodzin Chopina na muzyków polskich — owoce tej wspólnej pracy na polu sztuki muzycznej stać się mogą pięknym i trwałym pomnikiem ku Jego pamięci...

Pomnik Chopina!

I tu znowu nasuwa się refleksja — miał przecież stanąć w Warszawie z bronzu i granitu? miał stać się krystalizacją widomą w kształt plastyczny ujętą naszych uczuć, uwielbień — hołdu? I ten znak widomy jest serc naszych konieczną potrzebą; czy nie byłoby więc na czasie wobec kończącego się roku „rocznicowego" popchnąć w jakikolwiek sposób tę zdaje się jakby drzemiącą sprawę?

Caveant consules...

*Henryk Opieński.*

# NA DOBIE.

## Poprawni.

Bez wrażenia, bez echa, w beznadziejnej ciszy zapadła decyzja podkomisji do sprawy chełmskiej w duchu projektu rządowego, przyczym posłowie nasi wykonali kilka poprawnych automatycznych gestów protestu, które miały ujawnić ich opozycyjny nastrój. Poseł Dymsza sięgnął raz jeszcze po szpargał z roku 1815-go i grzecznie prosił niezapominać o postanowieniach Kongresu Wiedeńskiego, na co wiceminister Kryżanowskij niemniej grzecznie odpowiedział, że mimo całego uznania dla ś. p. Metternicha, rzeczona *bumaga* jest bez wartości, bowiem wszystkie prawa historyczne Królestwa Polskiego zostały zniszczone przez dwa powstania.. Wobec takiego *dictum*, które bynajmniej nie jest niespodzianką, p. Dymsza ukrył dokument w zanadrzu i rozmowa potoczyła się dalej...

Z niemałą dumą należy stwierdzić, że nasi posłowie wcale nie są podobni do „hajdamaków" rusińskich ze Lwowa, którzy tak łacno wychodzą z równowagi i czynią taki rwetes, że słychać ich w całej Europie, gdy się im odmówi paru krzeseł w Sejmie... My, Polacy, jesteśmy niezmiernie kurtuazyjnym narodem, i nic, ale to nic, nie może zmusić nas do wyzbycia się niepokalanej dystynkcji. Jakkolwiek bądź ułożą się dalsze losy Chełmszczyzny, Koło polskie zachowa wytworność wyszukanych manier, którym nic zarzucić nie może p. Leon Płoszowski ani hr. Boni de Castellane.

## Niepoprawni.

W początkach naszej ery skarżył się wielkorządca Judei na niesforność i zaciętość żydów, którzy, ustawiczne tocząc ze sobą walki, nie dawali mu chwili wytchnienia, ogłuszali wrzaskiem wzajemnych złorzeczeń i ciągnąc go za poły, żądali wyroków śmierci dla osób odmiennych przekonań. Strapiony Pontius Pilatus rozkładał bezradnie swe białe ręce arystokraty — które tak często umywał — z niesmakiem i odrazą do tych zachrypłych i zapienionych sekciarzy-faryzeuszów.

Od tych czasów, utrwalonych w dziejach ludzkości głoskami krwi i ognia, żydzi nie wiele się zmienili. I dziś tłum żydowski nie zna miary, nie znosi zdań przeciwnych, jest przesadnie wrażliwy na słowa najlżejszej krytyki i gotowy w każdej chwili kamienować odstępców, wyłamujących się z pod rygoru zbiorowej myśli.

Przed trzema laty w Warszawie tłum inteligentnych żydów omal nie dopuścił się czynnej napaści na jednego z pokrewnych sobie wolnomyślicieli, który wielekroć przemawiał wobec aryjskiego audytorjum bez przykrych dla siebie następstw... Wobec tysiąca rozjuszonych współplemieńców w obronie prelegenta stanęło wówczas trzech obecnych na sali... Sokołów.

Podobnego przyjęcia doznał przed kilku dniami p. Leo Belmont ze strony tłuszczy fanatyków żydowskich — za kilka jędrnych słów prawdy o judaizmie z punktu widzenia pojęć nowoczesnych.

Ostatnio, podczas wiecu *Spójni* w Paryżu, omal nie doszło do czynnej rozprawy samosądu nad jednym z naszych współpracowników, który poważył się motywować swoje poglądy wobec rozpalonego do białości tłumu współplemieńców, o przekonaniach nader „lewicowych". I znów zjawić się musieli rozjemcy i osłonić delikwenta w imię tej kultury duchowej, na jakiej powszechnie zbywa wspomnianym zespołom.

## W otchłani.

Pod tym nagłówkiem ogłasza *Izraelita* (Nr. 33) rozpaczliwy list inteligentnej dziewczyny żydowskiej z głuchej prowincji, więzionej w domu przemocą i katowanej przez rodziców, ciemnych i zajadłych chasydów, którzy głodem i biciem chcą wykorzenić „odstępstwo" z duszy córki wyrodnej, rwącej się z tej otchłani do światła, do wiedzy, do życia...

A więc znów stawiono nam przed oczy jedną kartę nieskończonych i haniebnych dziejów tej ponurej martyrologji, którą sami żydzi w ciągu wieków gotowali najlepszym z pośród siebie! Dziwne to plemię, co pod ustawicznym gradem krwawych plag, pod brzemieniem najsroższego ucisku — samo się bije po głowie z jakąś obłędną pasją, budzącą politowanie i grozę. Ten wieczny pacjent daleki jest jeszcze od rekonwalescencji, a najgorzej, że zamyka oczy na własną chorobę i nie lubi, żeby mu o niej przypominano.

Krakowska sprawa Klugierówien powinna była zwrócić uwagę kulturalnych żydów na te ciemne, tchnące stęchlizną i hańbą, zakamarki życia żydowskiego, gdzie lęgną się zbrodnie, spełniane bezkarnie na młodych umysłach, gdzie niejeden Urjel Acosta wije się i kona w męce beznadziei. Od czasu do czasu z tej otchłani straszliwej dobiega głos, wołający o pomoc, o ratunek... Cóż z tego, że w poszczególnych wypadkach tu i owdzie uda się ludziom zacnym i ofiarnym wydrzeć ofiarę ciemnoty ze szponów takich rodziców czy opiekunów, jak ci, o których tutaj pisano, albo jak krakowscy Klugierowie. Ile tych ofiar czeka naprózno i ginie! Zaś ogół działaczy żydowskich, mających na swoje rozkazy potężną i wszechwładną prasę żargonową, zamiast osuszyć i nazawsze usunąć te cuchnące haniebne gnojówki dobrowolnego *ghetta*, zamiast nieść hasło postępu tam, gdzie go potrzeba najwięcej — woli czynić zgiełkliwy samosąd nad różnymi odszczepieńcami, jak za czasów króla Heroda.

## Synagoga szatana.

P. Stanisław Przybyszewski umiał z bezprzykładną siłą narzucić ogółowi swój autorytet pisarski. Nie-

zaprzeczony, rzeczywisty talent odegrał tu rolę, że tak powiem, epizodyczną; Przybyszewski został wielkim i uznanym dlatego, że służył początkowo za cel pocisków ze strony mamutów naszej literatury i krytyków mniej lub więcej kopalnych t. j. zasługujących na skopanie w sensie oczywiście alegorycznym.

Po pamiętnym turnieju polemicznym, Przybyszewski rzucił na półki księgarskie kilka poezji, skreślonych cudowną prozą, wystawił parę śmiałych dramatów, poczym zaczął szybko powszednieć i, co gorsza, powtarzać na tym samym tworzywie coraz wymyślniejsze okropności. Bez należytego poczucia miary, wzmógł w późniejszych swoich dziełach do karykaturalnych granic ów nastrój chorobliwy nienaturalnie wytężonych uczuć, zaś jego bohaterowie wyglądają tak, jak gdyby chcieli koniecznie wygadać się, czując niechybne *delirium tremens.* W tej zgęszczonej atmosferze alkowy i szynku autor rozsnuwa jeszcze dziwaczne moralizatorstwo jakiegoś Sawonaroli, wygrażając każdej radości życia, bo to się jakoby „mści, to się strasznie mści—he, he, he!..."; to też wszyscy jego bohaterzy wpadają w ton jakiegoś niesłychanego kabotynizmu, ważąc się między ostatnim łotrostwem, najgorszym wyuzdaniem a płaksiwym sentymentalizmem, okraszonym jakąś częstochowską, plebańską fikcją „grzechu pierworodnego".

Przybyszewski jest wogóle — wbrew rozpowszechnionym mniemaniom — pisarzem arcy katolickim w rodzaju Huysmans'a, jeno bez jego niezmiernej kultury... Tylko w tym mózgu zrodzić się mogło dzieło takie, jak *Synagoga szatana*, budząca niekłamaną ciekawość i grozę pośród pensjonarek... Ale z biegiem czasu Przybyszewski spróbował cały ogół czytelników traktować, jak pensjonarki — i co najdziwniejsza, udało mu się to w zupełności.

Wprawdzie tu i owdzie rozległy się ostrzegawcze głosy. Leo Belmont słusznie nazwał ckliwy melodramat „Matkę" — „najgłupszą matką na świecie". Jeden z czytelników *Kultury Polskiej* pisze w liście do redakcji pod nagłówkiem *Fabrykacja okropności* następujące słuszne uwagi o „Przedmowie" do *Godów Życia*:

„Hanka, osaczona jak dziki zwierz — wyjaśnia Przybyszewski — miała jeszcze jedno wyjście: powrót do kochającego i kochanego przez nią Wacława. *To wyjście trzeba jej było zagrodzić.* Ale czem? Długo, długo nad tem myślałem i na wszystkie strony się ważyłem", No i wymyślił — „by ostateczną tragedję wywołać" bardzo prosty sposób „zagrodzenia jedynego wyjścia": kazał przyjacielowi Wacława zgwałcić Hankę.

„Ten prawdziwie bekowiskowy pomysł—są słowa autora listu—znamionuje doskonale nietylko ordynarność wyobraźni pisarskiej, ale całą sztuczność fabrykacji, która ma odtwarzać „żelazne prawo bezlitosnego porządku społecznego", a stwarza brutalne koncepty, przeznaczone do targania nerwów bezmyślnego tłumu". Surowy to sąd, ale stokrotnie zasłużony. Publiczność nasza zadługo wdychała z naiwnym pietyzmem i dobrą wiarą ów czad niezdrowych i nienaturalnych wyziewów, które stwarzał p. Przybyszewski w swym tyglu zawodowego alchemika.

Podobno cieszy się on niezmierną popularnością i uznaniem bezgranicznym w Rosji, kraju ponuro-jaskrawych kontrastów i skrajnych upodobań. Wcale nas to nie dziwi. Ale nasza nierównie kulturalniejsza publiczność powinna mieć wybredne gusta i zdobyć się na pogląd krytyczny wobec preparatów, wystawionych na pokaz w *panopticum okropności* autora „Synagogi szatana".

# Z PRASY.

## Z prasy polskiej.

* Sprawa zaburzeń na uniwersytecie Krakowskim nie schodzi z porządku dziennego. Pisma klerykalne różnych odcieni domagają się wielkim głosem wykluczenia studentów wolnomyślnych z murów Wszechnicy; w tej niechlubnej kampanji bierze udział część prasy warszawskiej — np. *Dziennik Powszechny* — mimo że tutejsze stosunki w szkołach wyższych i średnich powinny chyba budzić dostateczny wstręt do takich ryczałtowych środków. Ale *spiritus flat, ubi vult.*

Pisma zachowawcze i umiarkowane poprzestały na podejrzanej wartości rewelacjach na temat „intryg masońskich" w rzeczonej sprawie, co ma wpłynąć bardzo skutecznie na zażegnanie Wolnej Myśli wśród młodzieży.

*Kurjer Warszawski,* pisząc o krakowskim Tow. Etycznym użył w tym celu nagłówka: *Krakowskie Wolnomularstwo*, komentując w odpowiedni sposób zasady tego Towarzystwa:

> Pozornie program wyłuszczony w odezwie jest dosyć bezbarwny i ma nawet gdzieniegdzie znamiona pewnej naiwności. Z małymi modyfika jami mogłoby się pod nim podpisać każde Stowarzyszenie, służące celom kulturalnym. Wystarczy jednak rozejrzeć się w nazwiskach założycieli, aby zrozumieć, że chodzi tu o propagandę ideałów wolnomularskich, a przedewszystkim o walkę z religją. Wśród twórców Towarzystwa etycznego są niemal wyłącznie ludzie, znani ze swych przeciwreligijnych dążności, a więc głośny materjalista i apostoł „wolnej myśli" Ernest Haeckel, dalej Magalhaes Lima, jeden z przywódców rewolucji portugalskiej i znanych wrogów kościoła, dalej prof. Masaryk z Pragi, jeden z najradykalniejszych liberałów słowiańskich i cały szereg pokrewnych im działaczów i pisarzów.

„Rewelacje" kurjerka pochwyciła skwapliwie prasa endecka, opatrując je ze swej strony w komentarze, mające podnieść grozę intrygi masońskiej. Oczywiście, są to manewry obliczone na grubą ignorację i naiwność przeciętnego ogółu czytelników. „Ideały" bowiem „wolnomularskie", jak powiada *Kurjer*, są dziś o wiele bardziej powszechne i uznane, niż się to może zdawać członkom Archikonfraternii Literackiej. Owe ideały, dawno w życie wcielone, wykraczają daleko poza ramki lig akademickich i Tow. etycznych. Cała współczesna kultura świecka na nich się opiera; dzisiejsza atmosfera życia i wiedzy jest nawskroś przesycona miazmatami strasznego dla kurjerków wolnomularstwa, o czem głoszą wyraźnie mnogie encykliki i listy pasterskie. Rozsadnik „ideałów wolnomularskich" łacno wykryć można w każdej szkole świeckiej, w pracowniach naukowych, stowarzyszeniach i klubach, na wiecach publicznych, w związkach zawodowych współdzielczych, w każdym zrzeszeniu ludzkim, utworzonym w imię samopomocy i postępu. Zorganizowane życie doczesne jest uosobieniem masoństwa. Jest nim zwłaszcza cały współczesny ustrój demokratyczny, o czym przekonać się można, zwiedzając ów prototyp wszystkich parlamentów świata, angielską Izbę Gmin, o kształcie długiego czworoboku ze wzniesieniem dla *speakera* (prezesa) u jednej ze ścian krótszych...

Zatym *Kurjer Warszawski* powinien rozszerzyć pole swoich dochodzeń i wniosków daleko poza granice Tow. Etycznego, jeśli chce ogarnąć cały zespół wpływów masońskich i skutecznie takowe wykorzeniać. Powinien także wzmocnić rygor kontroli duchownej w stosunku do siebie, bowiem jako organ opinji świeckiej mimochcąc poddaje się często wpływom wolnomularskim. Wyzbyć się ich — znaczyło by zerwać wszelki kontakt z kulturą współczesnego świata.

Istotnie. *Kurjer Warszawski* w tym samym numerze, gdzie napada na „Krakowskie wolnomularstwo" w postaci Tow. Etycznego — nie szczędzi zachwytów na temat czysto masońskiego *Święta Minerwy*, obchodzonego z urzędową i uroczystą pompą, co prawda nie w Polsce, jeno w odległej bardzo Gwatemali.

Entuzjastyczny swój artykuł o *Święcie Minerwy* kończy *Kurjer Warszawski* temi słowy:

> Piękna ta uroczystość znalazła oddźwięk i poza granicami Gwatemali. Ludzie tak wybitni, jak Roosevelt, Fallières, Franciszek Coppée, Gerhart Hauptmann i in., powitali ją z sympatją i uznaniem dotychczas jednak tylko w Gwatemali święto na cześć wiedzy jest świętem narodowym, w którym bierze udział radosny cała ludność kraju.
>
> W Europie natomiast, opartej na pokoju zbrojnym, powstała myśl dzika — bataljonów szkolnych.

Jedna jeszcze uwaga. Jeśli *Kurjer Warszawski* nie pochwala „bataljonów szkolnych", to powinien uznać wartość prądów, zmierzających do wprowadzenia i u nas owego *Święta Minerwy*, które tak przypadło do gustu roztargnionym jego publicystom.

* Omawiając sprawę Żulińską na tle zaognionych stosunków galicyjskich, które nieraz jeszcze wpływać będą fatalnie na nasze własne sprawy w Petersburgu, rzuciliśmy pytanie: „Czemu posłano nauczyciela — Polaka (Greissa) do wsi, gdzie jest 90% Rusinów? Jeżeli my tu nie chcemy rusyfikatorów w sali szkolnej, to pamiętać musimy o zasadzie: Nie czyń drugiemu, co tobie niemiło".

Odpowiada nam *Słowo*, które przyznaje oględnie, że „wpływ narod.-demokracji na stosunki rusko-polskie był i jest dalej z pewnością niepocieszny (!), ale — w sprawie szkolnej jedynym czynnikiem decydującym jest „ustawa". Otóż „ustawa ta nigdzie nie przepisuje, aby we wsiach polskich, czy z większością polską miał uczyć w szkole nauczyciel Polak i *vice versa*, nigdzie nie zastrzega wsiom rusińskim nauczycieli Rusinów".

Tak się u nas traktuje sprawy pełne krwi, ognia i lawy! Cały bolesny bezmiar zatargu polsko-ruskiego organ „realistów" — przysłania słowem: *ustawa*. My tu znamy się dobrze na wartości ustaw i jeśli *Słowo* uważa argument ów za ostateczny, to możemy się nad nim litować. Komu leżą istotnie na sercu nasze nieszczęsne bolączki ten nie da się zahypnotyzować literą ustaw galicyjskich. Trzeba na to iście bezdusznego formalizmu, aby upierać się przy „ustawie" bez względu na olbrzymie szkody, jakie nam wyrządza każda tego rodzaju dywersja, jak Sprawa Żulińska. Istnieje dla nas coś niezmiernie wyższego od paragrafu ustaw austrjackich: dobro narodu.

Jeśli zaś *Słowo* uważa, iż „tego typu zarzuty, stawiane władzom polskim w Galicji, nietylko bałamucą opinję Królestwa, ale mogą dostać się i dalej, aby wzbogacić skarbiec obłudnych wyrzutów i fałszywych argumentów"—musimy przywołać organ realistów do porządku, prosząc zastanowić się nad tym, co bardziej jest na rękę „naszym najserdeczniejszym" nad Newą: jątrzenie sprawy rusińskiej na mocy „ustaw" i przy sukursie nacjonalistów, czy też możliwe jej uśmierzenie metodą ustępstw, które nam, żywiołom silniejszym kulturalnie i społecznie, nie ujmę, lecz chlubę przyniosą. *Słowu*, które tak często skarży się na demagogję, nie przystoi wykręcać się z tego dylematu tanim łatwym frazesem.

## Z prasy zagranicznej.

* Włoska *Tribuna* ogłasza sensacyjne pamiętniki obecnego dyrektora policji medjolańskiej, Bondi'ego, dawniej komisarza policji w Rzymie. Pamiętniki te zawierają ciekawe opisy zajść, jakie rozegrały się przy wyborze papieża Piusa X, zwłaszcza sprawy *veta* Austrji przeciw wyborowi kardynała Rampolli, wniesionego przez kardynała Puzynę.

Bondi zaprzecza twierdzeniu, jakoby Włochy były wmieszane w sprawę tego *veta* i zapewnia, że *veto* wniosła Austrja *na życzenie Niemiec*, które tego prawa nie posiadają.

W sprawie słynnego *veto* z r. 1903 *Prawda* pierwsza wypowiedziała pogląd, który dziś tak miarodajne znajduje potwierdzenie. Nie ulega żadnej już wątpliwości, że dygnitarz kościelny, przed którym chylą głowy wszystkie polskie władze i najznaczniejsze u nas instytucje — odegrał, w najlepszym razie, rolę pionka w rękach niemieckich. Ci rzymsko-germańscy figuranci w purpurze i fioletach nie tylko nie mają nic wspólnego z polskimi dążeniami. ale przeciwstawiają się im na każdym kroku, bądź samodzielnie, bądź pod wpływem odpowiedniego impulsu. Niech milczy o tym tchórzliwa prasa konserwatywna; i ogół uczciwej opinji polskiej już wie, czego się trzymać.

**Prenumerata „Prawdy"** (wraz z bezpłatnym dodatkiem):
**W Warszawie:** miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
**Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

**Za zmianę adresu** dopłaca się 20 kop.

**Sekretarz redakcji** przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

**Rękopisów nie odsyła się.** Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

**Korespondencji** nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

**Ogłoszenia** wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

**Przedpłatę przyjmują:** Administracja Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism perjodycznych.

**Sprzedaż pojedyńczych numerów** po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

**Administracja otwarta codziennie,** z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

TREŚĆ:


Wydawca: Józef Jabłoński. Redaktor: Aleksander John.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.